

Równość

Stowarzyszenie
im. Tadeusza Regera

kwartalnik
nr 2/2019



Edukacja

- 2 Jak wygląda praca
nauczycielki? *Paweł Miech*
- 4 Reforma oczami
uczniów *Mateusz Merta*
- 6 A może NKWiUD
pomocze? *Aleksandra Granat*
- 8 5 grzechów głównych
polskiej oświaty *Mikołaj Bizoń*
- 10 Edukacja muzyczna
w erze kapitalizmu *Adam Konieczny*
- 12 Wierzę, że ludziom znudzą
się szalalacze — wywiad
z Maciejem Trzeciakiem *Agnieszka Lamek-Kochanowska*
- 14 Rewolucja wśród
dźwięków gitar *Marzena Kocurek*
- 17 Niewolnice II RP. Joanna Kuciel-Frydryszak,
Służące do wszystkiego *Agnieszka Pietrzak*
- 18 Szpiegówki — nowomowa czy
nasze dziedzictwo? *Małgorzata Koniorczyk*
- 20 Kobiety w Radzie Narodowej
Księstwa Cieszyńskiego —
wywiad z Władysławą Magierą *Natalia Kałuża*
- 22 Edukacja seksualna.
Fakty i mity *Paweł Miech*
- 24 Reforma oświaty — wywiad
z Przemysławem Sadurą *Agnieszka Lamek-Kochanowska
i Mikołaj Bizoń*
- 27 Romowie a polski system
szkolnictwa *Barbara Ślania*
- 28 W toaletach śmierdzi
uryną *Agnieszka Lamek-Kochanowska*
- 30 Edukacja przez sport, czyli
animatorzy na Orlikach *Katarzyna Wodniak*

Zamykaliśmy drugi numer naszego kwartalnika, w czasie kiedy trwał strajk nauczycieli i nie wiedzieliśmy, jak on się skończy. Wierzymy w słuszość strajku, chociaż partia rządząca zdaje się być głucha nie tylko na postulaty strajkujących nauczycieli, ale także lekarzy rezydentów, pocztowców, pracowników socjalnych czy opiekunów osób z niepełnosprawnością i właściwie każdego dnia traciliśmy nadzieję na jego pozytywne rozwiązanie. Widzieliśmy obrzydliwe wykorzystywanie strajku na potrzeby kampanii wyborczej opozycji. To smutne.

Czy bezinteresowna solidarność w Polsce jest jeszcze możliwa? Oczywiście, że tak, a udowodnili to zwykli obywatele tego kraju biorący udział w wiecach poparcia dla strajkujących nauczycieli, liczne gesty poparcia w realu i wirtualnym świecie, a także zbiórka środków na fundusz strajkowy dla nauczycieli. To wszystko złożyło się na jedną z bardziej wartościowych lekcji w życiu młodych ludzi, którzy byli częścią tego protestu. Dziękujemy Wam za to Drogie Nauczycielki i Drodzy Nauczyciele!

Redakcja Równości życzy wszystkim nauczycielkom i nauczycielom podwyżek, na które zasługują. Problemów w naszym systemie edukacji jest wiele, jednak źle opłacani nauczyciele to paląca kwestia, dotykająca całą grupę zawodową, zahaczająca o temat trzeciego numeru Równości – pracę i godną płacę. Już teraz zachęcam do nad-

syłania tekstów pod adres: rownoscredakcja@gmail.com.

W drugim numerze Równości poza problemem związanym z zarobkami nauczycieli poruszamy również inne kwestie dotyczące edukacji, jednak wciąż nie wyczerpujemy tego tematu. Znajdziesz w tym numerze m.in. tekst o edukacji seksualnej, która wzbudza tyle kontrowersji, że urosła do rangi politycznego przedmiotu walki, czy np. tekst o traktowanej po macoszemu edukacji muzycznej oraz artykuł o sile, jaką muzyka w nas wyzwala. Oddajemy głos zarówno nauczycielce, jak i uczniom, którzy punktują słabe strony reformy oświaty. Zaglądamy do szkolnych toalet. Przypominamy o kwestii edukacji mniejszości etnicznej. Drugi numer Równości obfitował w wywiady, m.in. z Władysławą Magierą o Radzie Narodowej Kobiet Śląska Cieszyńskiego. Tak, jak obiecaliśmy karty naszego czasopisma to miejsce na pomijaną dotychczas herstorię. Zaskoczeniem dla naszych czytelników może być recenzja książki „Służące do wszystkiego” – zdaje się, że rubryka recenzji zagości u nas na stałe. Starając się, aby nasze czasopismo nie zawierało w sobie wyłącznie krytyki systemu edukacji, opisujemy sukcesy „Orlików”.

Zapraszamy więc do lektury!

Zespół redakcyjny

Paweł Miech

Jak wygląda praca nauczycielki?

Strajk w szkołach zwrócił uwagę na problem niskich zarobków nauczycielek i nauczycieli.

Na początku kwietnia był to jeden z najczęściej wyszukiwanych tematów w Internecie. Mniej mówi się o tym, jak faktycznie wygląda praca w szkole. Można spotkać się z rozmaitymi mitami na ten temat, na przykład z poglądem, że nauczycielki pracują tylko 18 godzin tygodniowo. Postanowiliśmy się więc temu przyjrzeć.

Nauczycielki i nauczyciele są bardzo liczną grupą zawodową. W roku szkolnym 2017/2018 w polskich szkołach i przedszkolach pracowało około pół miliona nauczycieli – spośród nich najliczniejszą grupą są zatrudnieni w szkołach podstawowych (222 tysiące według danych GUS). Aż 82% nauczycieli stanowią kobiety (dane Ministerstwa Edukacji Narodowej), dlatego bardziej zasadne wydaje się mówienie o strajku czy warunkach pracy nauczycielek niż nauczycieli.

Niektórzy utożsamiają pracę nauczycielki z pracą w szkolnej klasie, przy tablicy. Tymczasem w praktyce nauczycielki mają zwykły 40-godzinny tydzień pracy, tak jak wszystkie inne grupy zawodowe. W tym 40-godzinnym tygodniu wyróżnia się jednak tak zwane pensum, czyli – mówiąc w uproszczeniu – gwarantowany przez Kartę nauczyciela czas spędzony na prowadzeniu zajęć dydaktycznych, wychowawczych czy opiekuńczych. Często mówi się o tym, że jest to 18 godzin. Takie ujęcie jest jednak mylące, ponieważ różne grupy nauczycie-

lek mają różne wymiary pensum. Karta nauczyciela wymienia 12 różnych wymiarów pensum w zależności od stanowiska. Na przykład w szkołach podstawowych jest to 18 godzin, w przedszkolach w klasach dla dzieci 6-letnich – 22 godziny, bibliotekarki natomiast mają pensum 30-godzinne.

Warto jednak pamiętać, że praca z uczniami jest jedynie częścią obowiązków nauczycielki. Nauczycielka musi również sprawdzać kartkówki i sprawdziany, przygotowywać się do lekcji, uczestniczyć w zebraniach rodziców i we wszystkich zajęciach, które wynikają ze statutu szkoły. Bierze też udział w zajęciach pozadydaktycznych: wyjściach do kina, wyjazdach na wycieczki. Sporo czasu zajmują różnorodne czynności administracyjne. Jak mówi Gabriela Herzyk, prezeska oddziału ZNP w Bielsku-Białej – W ostatnich latach nauczycielom przybyło dodatkowych obowiązków biurokratycznych. Pod tym względem niedawna reforma edukacji poszła w złym kierunku. Kiedyś na przykład praca wychowawcy klasy nie była tak sformalizowana, teraz pojawiło się mnóstwo dokumentów, które trzeba wypełniać.

W praktyce czas pracy nauczyciela jest więc nawet dłuższy niż 40 godzin tygodniowo. Według badań przeprowadzonych przez Instytut Badań Edukacyjnych w 2011 roku średni czas pracy wynosił 46 godzin i 40 minut tygodniowo. Co istotne, choć nadgodziny w ramach pracy dydaktycznej są płatne dodatkowo, to nadgodziny niezwiązane z pensum nie są płatne.

Osobną kwestią jest czas spędzony przez nauczyciela na nabywaniu nowych umiejętności i wiedzy. Dzisiaj większość nauczycieli nie uczy wyłącznie jednego

przedmiotu, z reguły prowadzi zajęcia z kilku, bo taka jest potrzeba. Inaczej nie uzbieraliby całego etatu – wyjaśnia Gabriela Herzyk. W związku z tym nauczyciele często muszą się doksztalcać, nauczyć się nowej dziedziny. Wymaga to czasu i pieniędzy. Nie zawsze kształcenie jest finansowane przez szkołę. Czasem nauczyciel musi je opłacić z własnej kieszeni.

Niekiedy mówi się, że zaletą pracy nauczyciela są długie wakacje. Także ta kwestia wygląda nieco inaczej, niż mogłoby się wydawać. Choć sami nauczyciele uważają, że wakacje dłuższe niż w przypadku innych zawodów są korzyścią płynącą z ich zawodu (badanie IBE), to sytuacja jest bardziej skomplikowana. Wakacje nie przysługują bowiem wszystkim nauczycielkom. Nie dotyczą na przykład pracowników placówek przedszkolnych, a jest to grupa licząca sobie, według GUS, 100 tysięcy osób. Jak wyjaśnia Gabriela Herzyk – Należy rozróżnić placówki feryjne i nieferyjne. Placówki nieferyjne to przedszkola – tu nauczyciel nie ma wakacji, tylko 35 dni urlopu do wykorzystania w dowolnym terminie. Inaczej jest w placówkach feryjnych. W nich nie możemy sobie wziąć urlopu, kiedy chcemy. Mamy urlop wtedy, gdy dzieci mają wakacje. Przy czym przez ostatnie 7 dni wakacji letnich, gdy uczniowie mają jeszcze wolne, my musimy być do dyspozycji dyrektora. Każdy musi w tym czasie przygotować warsztat pracy oraz klasę.

Nauczyciele pracujący w szkołach feryjnych nie mają więc urlopu na żądanie. Nie mogą na przykład skorzystać z tańszych wakacji we wrześniu. Nie każdemu jest to na rękę. Warto też pamiętać, że nauczyciele muszą brać udział w niektórych pracach szkoły

na początku wakacji, w lipcu. To oni zajmują się rekrutacją, przyjmują dokumentację kandydatów.

Osobnym problemem w pracy nauczycielki jest dziś konieczność dzielenia etatu pomiędzy kilka szkół. Dyrektor danej placówki oferuje zatrudnienie zaledwie na kilka godzin w tygodniu, w wymiarze, który nie daje możliwości realizacji pełnego etatu. Nauczycielki muszą więc jeździć z jednej szkoły do drugiej. Często zdarza się i tak, że dyrektor nie może znaleźć nauczyciela do danego przedmiotu. Jak wyjaśnia Gabriela Herzyk – Brakuje nauczycieli w konkretnych dyscyplinach, szczególnie do takich przedmiotów jak matematyka, fizyka, chemia. Ostatnio bardzo rozszerzono pomoc psychologiczno-pedagogiczną w szkołach – tu także za mało jest nauczycieli z kwalifikacjami.

Z pracą w szkole wiązą się stres i hałas. Rodzice przychodzący do szkoły nieraz zauważają, że trudno byłoby im pracować w takich warunkach. Dla nauczycieli hałas jest jednak codziennością. Nauczyciele są także odpowiedzialni za bezpieczeństwo uczniów, w razie wypadku mogą ponieść odpowiedzialność karną. Wymaga się od nich więc stałej uwagi, co wzmacnia poziom stresu.

Podsumowując: widać, że praca nauczycielki lub nauczyciela nie jest bynajmniej łatwa. Zdaniem większości pracujących w tym zawodzie nie jest ona wynagradzana adekwatnie do włożonego trudu. W badaniu z 2011 roku tylko 16% nauczycielek i nauczycieli zgodziło się z poglądem, że ich wynagrodzenia są satysfakcjonujące. Od tego czasu minęło 8 lat – dziś zapewne frustracja z powodu zarobków jeszcze wzrosła. ♦

**Aż 82%
nauczycieli
stanowią
kobiety, dlatego
bardziej
zasadne wydaje
się mówienie
o strajku czy
warunkach
pracy
nauczycielek
niż nauczycieli**

Mateusz Merta

Reforma oczami uczniów

Pierwszego września tego roku „obchodziliśmy” pierwszą rocznicę wprowadzenia w życie reformy edukacji. Obecnie uczniowie albo nie mają możliwości, albo po prostu nie próbują zabierać głosu w tej sprawie, a jest o czym mówić, bo po roku skutki reformy są już namacalne. Jako uczeń postaram się ten obraz nakreślić właśnie okiem ucznia.

Samorządy wydały już ponad miliard złotych na wprowadzenie reformy w życie, nie dostały natomiast ani grosza więcej, dlatego przeprowadzenie zmian w sposób racjonalny i uporządkowany jest po prostu niewykonalne.

Klasy niczym konserwy

Edukacja od zawsze była popularnym kąskiem dla polityków. Każda opcja wywracała ją „do góry nogami”. Tak też było w 2017 roku, gdy Anna Zalewska wprowadziła „dobrą zmianę” do polskiego szkolnictwa. Wydaje się, że reforma ta została napisana na kolanie w poczekalni na Nowogrodzkiej, czas bowiem gonił, a sztandarowe obietnice PiS-u wciąż pozostawały nietknięte. W ten oto sposób, pomimo licznych protestów i obywatelskiego sprzeciwu, bez żadnych konsultacji, w życie weszła zupełnie nieprzemyślana reforma – choć lepszą nazwą byłaby chyba w tym przypadku rewolucja. Jej skutki my,

uczniowie, odczuliśmy niemalże natychmiast.

Szkolna kawiarenka, kantorek przy sali gimnastycznej czy – co już całkiem absurdalne – kontener obok szkoły zostały przekształcone na sale lekcyjne. Sale bez odpowiedniego wyposażenia i warunków do nauki, w których ciężko jest się skupić i przyswajać wiedzę. Zdarzają się również sytuacje, kiedy z powodu braku miejsca lekcje odbywają się w stołówkach czy na korytarzach, a w takich warunkach realizacja materiału jest wręcz niemożliwa do spełnienia i w praktyce te zaję-

cia polegają po prostu na przesiedzeniu godziny. Niedostateczna liczba sal lekcyjnych sprawia też, że prowizoryczne klasy tworzone są zamiast innych ważnych dla ucznia miejsc, takich jak wyżej wspomniana kawiarenka, w której dawniej można było coś zjeść i usiąść w trakcie przerwy. Według Rzecznika Praw Obywatelskich samorządy wydały już ponad miliard złotych na wprowadzenie reformy w życie, nie dostały natomiast ani grosza więcej, dlatego przeprowadzenie zmian w sposób racjonalny i uporządkowany jest po prostu niewykonalne.

W wyniku przepełnienia pojawia się też inny istotny problem. Dzieci, szczególnie w mniejszych miejscowościach, nie

mają dostępu do psychologów szkolnych – przypada ich średnio 1 na 1000 uczniów – nie wspominając już o pielęgniarkach, które w poszczególnych szkołach pracują tylko w wyznaczone dni. Ponad 21% spraw zgłaszanych przez rodziców dyrektorom szkół dotyczy przemocy rówieśniczej, a liczby te wciąż rosną. Nowi dyrektorzy nie są przygotowani do pracy z młodzieżą gimnazjalną i aż ponad połowa z nich (jak wskazują badania Rzecznika Praw Dziecka) nie wie, jakie są przyczyny tych problemów. Tu właśnie powinni wkroczyć z pomocą szkolni psychologowie, których – jak pisałem wyżej – brakuje.

Kolejnym niebezpiecznym skutkiem zmian jest pogłębianie nierówności społecznych. Aby otrzymać stosowną edukację, trzeba będzie wybierać szkoły prywatne. Uczniowie z mniej zamożnych rodzin nie będą mogli pozwolić sobie na kształcenie na takim samym poziomie, jak ich zamożniejsi rówieśnicy w prywatnych placówkach. Taka sytuacja jest w praktyce naruszeniem konstytucyjnych gwarancji równego dostępu do edukacji dla wszystkich obywateli.

Praca ponad miarę

W listopadzie zeszłego roku System Informacji Oświatowej poinformował o zwolnieniu 6,6 tysięcy nauczycieli już na początku reformy. Liczba ta stale rośnie – mówi się już o ponad 7 tysiącach zwolnień. To dane zaledwie pierwszego roku reformy. Nauczyciele padli ofiarą redukcji etatów pomimo zapewnień, że nie będzie takiej potrzeby. I jak się okazuje, takiej potrzeby rzeczywiście nie ma,

a zwolnienia są bezpodstawne, gdyż już ponad 1% nauczycieli pracuje w więcej niż 5 szkołach! Rekordzistka naszego kraju pracuje w aż 7 placówkach. Takich problemów przed reformą nie było, a mocno dają się one we znaki uczniom. Nauczyciele przychodzą na lekcje zmęczeni i przepracowani. Obowiązki przytłaczają ich także w domu, gdzie spędzają ogromną ilość czasu na poprawianiu setek prac uczniów. Pedagog mający do czynienia z taką liczbą młodzieży nie ma również możliwości stworzenia relacji z uczniami i wypracowania indywidualnego podejścia do nich, w najmniejszym nawet stopniu. Taki układ ma bardzo zły wpływ zarówno na zagubionych w tej sytuacji uczniów, jak i na przemęczonych, bez przerwy zajętych nauczycieli.

Uczniowie, głównie ci idący nowym tokiem nauczania, zostali przez reformę zupełnie przytłoczeni. Wyżej powoływałem się na badania pokazujące, że 21% problemów zgłaszanych dyrektorom to przemoc rówieśnicza. Te same badania wskazują na jeszcze inne kwestie, do których należą: nadmiar nauki (wskazywane przez 80% uczniów i 78% rodziców), prac domowych (41% i 36%), sprawdzianów (30% i 24%) i kartkówek (29% i 15%). Ponadto 48% nauczycieli otwarcie mówi, że nowy program jest zbyt obszerny i że nie są w stanie zrealizować go w całości, przez co uczniowie, aby zaliczyć egzaminy kończące szkołę, muszą uczyć się w domach. Według tych samych badań niemal połowa z rodziców zauważyła, że ich dzieci wypisują się z dodatkowych kół zainteresowań i zajęć rozwijających. Jakich dorosłych wychowa nam ten system? Pracoholików

na dwóch etatach, niemających czasu nawet na myślenie o swoich zainteresowaniach? Pograżone w depresji wraki ludzi? Taki tok nauczania jest niebezpieczny dla młodzieży i należy do najgroźniejszych skutków reformy. Co gorsza, już oddziałuje.

Potrzebne zmiany

Hipokryzją i nonsensem z mojej strony byłaby propozycja zupełnego odwrócenia reformy, co spowodowałoby spotęgowanie i tak już wielkiego chaosu. Zmiany są jednak konieczne. Ministerstwo Edukacji Narodowej powinno wysłuchać nauczycieli i dopuścić do głosu głównych zainteresowanych, czyli nas – uczniów. Niestety, tak się nie dzieje, a na wyniki licznych seminariów i badań MEN odpowiada banałami, utrzymując, że obecne

się jednak na błędach – chcą, aby skutki ich reform były widoczne natychmiast, czego skutków już nie możemy odwrócić, gdyż za rok do szkół średnich pójdą aż 2 roczniki. Wracamy więc do problemu przepełnienia placówek. Gdy spogląda się na chaos ostatniego roku, rozwiązania nasuwają się same. Przede wszystkim należy przeznaczyć więcej miejsca w budżecie na oświatę, a dodatkowe środki powinny zostać przekazane samorządom w celu przygotowania miejsc, by choć częściowo załatać problem. Konieczne byłoby zwiększenie nakładów na transport, gdyż w tej chwili uczniowie dojeżdżający do szkół muszą nieraz pokonywać wiele kilometrów dużym kosztem. Szkoła to nie tylko budynki i dojazd, lecz także nauczyciele. Absurdalne są więc zwolnienia

Nauczyciele przychodzą na lekcje zmęczeni i przepracowani.

rozwiązania są „skutecznym narzędziem racjonalnego wykorzystania istniejącej infrastruktury szkolnej, a także kadry pedagogicznej”, co w kontekście wszystkiego, o czym pisałem, brzmi jak śmieszny oksymoron. Przy takim podejściu nie uda się zapobiec przedstawionym przeze mnie problemom, a pracy jest ogrom. Przede wszystkim potrzebny jest nowy, jednolity program edukacji, który zostanie opracowany po szerokich konsultacjach już od pierwszych stopni edukacji, gdyż obecne wprowadzenie można porównać do przedstawienia zwrotnicy 50 metrów przed nadjeżdżającym pociągiem. Rządzący nie uczą

i obcinanie świadczeń w sytuacji, gdy pilnie potrzebujemy kadr.

My, uczniowie, szczególnie ci młodszy, również mamy swoje zdanie i chcemy je przedstawić. Uważam, że młodzież powinna być częściej zapraszana na seminaria i konsultacje w sprawie zmian, które jej dotyczą. To przecież my, a nie urzędnicy na ministerialnych stołkach, tracimy miejsca odpoczynku czy szatnie, to my borykamy się z coraz większym ściskiem w placówkach oraz *de facto* ukrytą prywatyzacją szkolnictwa. Mam nadzieję, że mój artykuł da czytającym nieco szerszy ogłód tego, co dzieje się w szkołach, i skłoni do refleksji. ♦

Aleksandra Granat

A może NKWiUD pomoże?

Cechą charakterystyczną powojennego polskiego szkolnictwa było nieustanne zwiększanie ilości wiedzy teoretycznej (wiał „encyklopedyzm”!) kosztem praktyki. Lekarstwem na absurdalność tej sytuacji miała być reforma szkolnictwa autorstwa ministra M. Handkego w 1999, której głównym założeniem było przygotowanie ucznia do radzenia sobie z problemami dnia codziennego w nowoczesnym świecie. Sprawdźmy, jaka jest rzeczywistość po kolejnych reformach reformy, które zawdzięczamy panią minister K. Hall i A. Zalewskiej, zawężając przykłady do przyrody i biologii.

W klasie czwartej szkoły podstawowej uczeń dowiaduje się, między innymi, jakie są sposoby poznawania przyrody. Wykuwa na pamięć definicje *obserwacji* i *eksperymentu* (w tym jego kolejne etapy, łącznie ze sformulowaniem hipotezy!) i oczywiście nie dokonuje żadnych obserwacji i eksperymentów, bo po co, skoro umie te procesy zdefiniować. W ramach sprawdzianu wymaga się od niego znajomości budowy mikroskopu, którego nie dotykał albo widział tylko na zdjęciu, a nawet umiejętności przygotowania preparatu mikroskopowego, którego nie tylko sam nie wykonywał, a nawet nie oglądał w gotowej postaci. Z całą odpowiedzialnością mogę wskazać dwie szkoły w województwie śląskim, gdzie czwartoklasiści teoretycznie trenują sposoby poznawania przyrody, przedzie-

rając się przez mało zrozumiały tekst w podręczniku.

Absolwent szkoły podstawowej powinien zdobyć podstawową wiedzę i umiejętności z zakresu biologii, które wykorzysta w życiu codziennym, bez względu na pracę, jaką będzie wykonywał. Z całą pewnością powinien zapoznać się (głównie praktycznie) z bioróżnorodnością przyrody i rolą biologiczną organizmów. Powinien wiedzieć, jak jest zbudowany i jak funkcjonuje jego organizm, a także jak postępować, aby funkcjonował prawidłowo. Ważne, aby znał zależności między organizmami a środowiskiem oraz wzajemne oddziaływanie między organizmami (ekologia). Ta wiedza będzie mu przydatna przez

matycznie otrzymywać z nadania tytuł magistra ze wszystkich widniejących na świadectwie przedmiotów, a z biologii, byłoby to magisterium z następującymi specjalizacjami: fizjologia roślin, zwierząt i człowieka, zoologia, botanika, genetyka, biochemia, histologia, cytologia etc. Nie do pomyślenia jest przecież, aby absolwent liceum o zainteresowaniach matematycznych czy humanistycznych nie wiedział nic o pleiotropowym działaniu genów*, nie potrafił wyjaśnić przewodzenia impulsów na zasadzie pompy sodowo-potasowej*, bądź nie znał nazw enzymów* rozkładających trawę w różnych odcinkach przewodu pokarmowego krowy. Wydaje się, że wszyscy żyjący obecnie w Polsce

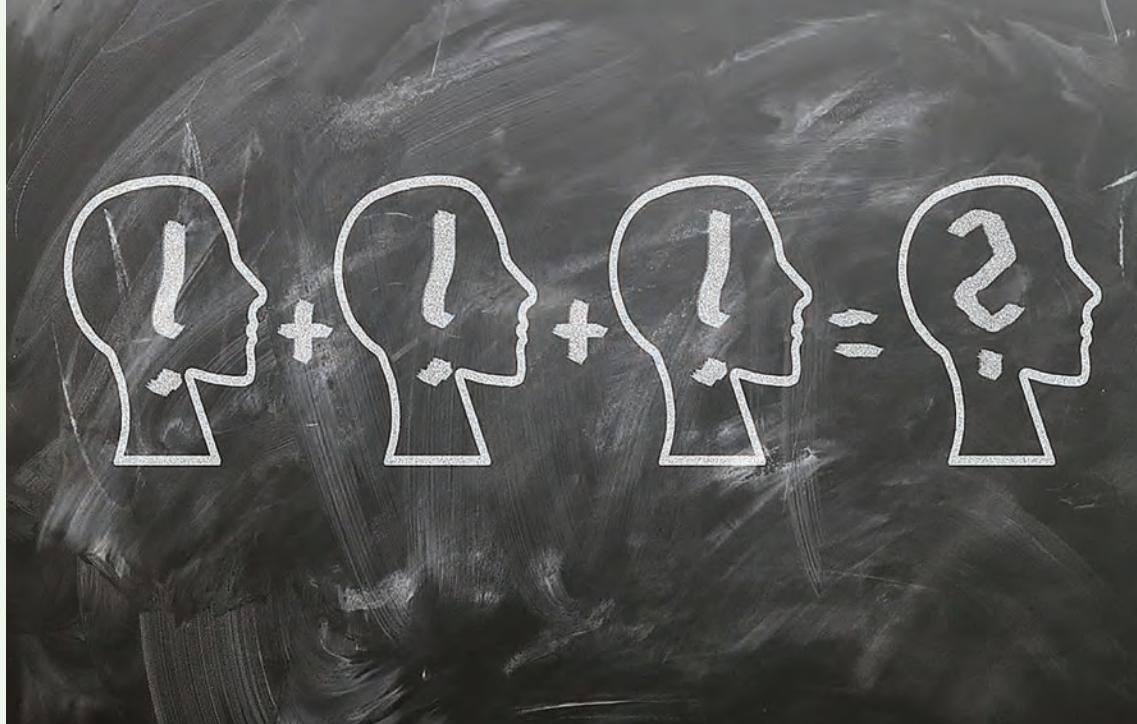
Programy licealne zakładają, że uczniowie tej szkoły powinni opanować wiedzę na poziomie akademickim.

całe życie. I właśnie tyle musiał wiedzieć absolwent gimnazjum po reformie pana ministra Handkego. Niestety, od czasów rządów pani minister Hall, twórcy programów uważają, że jeżeli absolwent podstawówki nie umie zaklasyfikować organizmu do *procaryota** lub *protista**, nie potrafi zdefiniować różnych pojęć, jak na przykład *allel**, *mutualizm**, *komensalizm**, *proto-kooperacja**, *takson**, to nie może zostać w przyszłości szewcem, informatykiem, policjantem, anglistą, posłem czy prezydentem RP.

Programy licealne zakładają, że uczniowie tej szkoły powinni opanować wiedzę na poziomie akademickim. „Piątkowy” absolwent liceum powinien więc auto-

trzydziesto- i więcej- latkowie, powinni od nowa zacząć naukę w liceum, bo przecież większość tego nie wie. Należy się więc zastanowić, jak to w ogóle jest możliwe, że radzą sobie w życiu. To chyba cud!

Gdyby powołano Narodową Komisję Wiedzy i Umiejętności Dopuszczających (w skrócie NKWiUD), która weryfikowałaby poziom wiedzy wykształconych obywateli Rzeczypospolitej, to większość z nich zostałaby skazana na cztery lata ciężkiego liceum z nową maturą. Wśród skazanych z całą pewnością znalazłaby się większość polskiej elity intelektualnej, co być może uświadomiłoby kolejnym reformatorom absurdu polskiej szkoły.



- * **procaryota** – organizmy, które nie mają w pełni wykształconego, otoczonego błoną, jądra komórkowego; należą do nich sinice i bakterie.
- * **protista** – „najprostsze” (określenie to jest wielkim uproszczeniem, ponieważ jednokomórkowy, niewidoczny gołym okiem, organizm, w którym zachodzą wszystkie ważne życiowe reakcje, trudno nazwać organizmem nieskomplikowanym) organizmy, w których występuje w pełni wykształcone jądro komórkowe; dzieli się je na roślinopodobne – glony, zwierzęcopodobne – pierwotniaki i grzybopodobne.
- * **allel** – wariant, wersja genu, np. jeden z genów decydujących o barwie oczu ma dwa allele: allel oczu jasnych i allel oczu ciemnych.
- * **komensalizm** – inaczej współbiesiadnictwo, rodzaj symbiozy (współżycie przedstawicieli dwóch gatunków korzystne dla jednej lub obu stron), gdzie przedstawiciel tylko jednego gatunku odnosi korzyść i nie szkodzi przedstawicielowi innego gatunku, np. żuk gnojowy to owad żywiący się głównie końskimi odchodami (korzyść) a koniowi jest obojętne, co stanie się z jego kałem.
- * **protokooperacja** – przedstawiciele dwóch gatunków odnoszą korzyść z wzajemnej obecności, ale mogą bez siebie żyć, np. pszczoła miodna znajduje pokarm w kwiatach jabłoni, jednocześnie zapylając je. Pszczoły mogą odżywiać się nektarem wielu gatunków roślin, a kwiaty jabłoni mogą być zapylane przez inne owady.
- * **mutualizm** – korzyści są obustronne, a współżyjące organizmy nie mogą się bez siebie obejść, np. porosty to organizmy powstałe dzięki trwałej symbiozie glonu (wytworza pokarm) z grzybem (pobiera wodę, ochrania komórki glonu). Podziały na różne rodzaje symbiozy są sztuczne, ponieważ przyroda wymyka się wszelkiemu zaszufładowaniu i np. wielu naukowców uznaje współżycie pszczoły z jabłonią za przykład mutualizmu.
- * **takson** – termin używany w systematyce, nauce zajmującej się klasyfikacją, czyli podziałem organizmów żywych na określone grupy (między innymi gatunki, rodzaje, rzędy...) zwane taksonami.
- * **plejotropowe działanie genu** – jeden gen może wpływać jednocześnie na różne właściwości organizmu; jest to tak zwany plejotropowy efekt działania genu.
- * **pompa sodowo-potasowa** – zespół enzymów obecnych w błonie komórkowej, umożliwiający aktywny (przy udziale pobranej energii) transport dodatnich jonów potasowych K^+ i sodowych Na^+ do wnętrza i na zewnątrz komórki, co prowadzi do zmian właściwości elektryczno-chemicznych po obu stronach błony komórkowej.
- * **enzym** – biokatalizator, białko umożliwiający, ułatwiający bądź przyspieszający zachodzenie reakcji w organizmie. Każda reakcja w żywym organizmie zachodzi przy udziale określonego enzymu. ♦

Mikołaj Bizoń

Pięć grzechów głównych polskiej oświaty

Kiedy sobie przypomnę, że to już dwunasty rok mordęgi, nieporozumień, rozczarowań i zwykłej nudy, to robi mi się naprawdę niedobrze... Otóż tak się składa, że w tym roku będę miał przyjemność (sic!) pisaną matury, a skoro jestem już na wylocie ze szkół wszelakich, to chciałbym przedstawić Wam pięć grzechów polskiego systemu edukacji.

To jest felieton o mojej frustracji.

ZZZ – zakuć, zdać, zapomnieć

Największą bolączką polskiej oświaty jest przestarzałe, anachroniczne i mijające się z celem podejście do nauczania. Szkoła nie pomaga młodym człowiekowi w poznaniu podstawowych zagadnień i ogólnemu ogarnianiu świata. Chodzi jedynie o to, żeby zdał kolejny test, napisał (do niedawna obowiązujący) sprawdzian szóstoklasisty, egzamin gimnazjalny, maturę i wszystkie sprawdziany po drodze, mające dowodzić realizacji Wielkiego Planu Nauczania. Niektórzy nauczyciele może by i chcieli czegoś więcej, ale trzeba jechać z materiałem, bo zakres duży, czasu mało, a zaległości same się nie nadgonią.

Przez to podejście cierpię niewysłowione katusze na lekcjach historii, katowany przez nudną jak flaki z olejem podstawę programową. Nie poznaję przemian, mechanizmów, przyczyn i skutków, a jedynie daty, daty

i jeszcze raz daty. Nie wiem jak ubierano się w danej epoce, nie wiem jakiej broni używano, nie wiem jak wyglądała gospodarka, nie wiem jak przedstawiały się uwarunkowania społeczne. Znam za to wszelkie możliwe bitwy, traktaty i tym podobne pierdoły, które w żaden sposób nie tłumaczą zniuansowanych dziejów świata, nie skłaniają do refleksji. Owszem, czasem zdarzy się wzmianka o czymś naprawdę interesującym i wynikającym z tej prawdziwej nauki, jaką jest historia, ale to tylko margines. Oczywiście, są pewne daty i wydarzenia, które trzeba znać, ale to żadne usprawiedliwienie.

Oddzielić ziarno od plew

Kolejna sprawa to zalew pseudonauki: antyszczepionkowców, lechitów i innych ekscentryków od Dzieci Indygo. Dlaczego o tym mówię? Cały ten kataklizm wynika z jednego z ważniejszych

dlaczego mówi się właśnie w ten sposób o tym zagadnieniu. Tak jest, bo tak stoi w programie i ty masz się tego uczyć. Po takim autorytarnym podejściu pozostaje jedynie niechęć i podatność na najróżniejsze odpryski żerowania na ludzkiej głupocie. Jak człowiek, który nie zostanie przeszkolony, ukierunkowany i odpowiednio przygotowany może potrafić odróżnić fałszywą informację od prawdziwej, skoro w szkole mówiono, że tak i kropka? To rodzi groźny bunt wobec nauki albo naiwność i podatność na wszędożyłskie hochsztaplerstwo.

Neutralność światopoglądowa? A na co to komu?

Kolejna pozycja na naszej liście: rok szkolny zaczyna się gdzie? Oczywiście w kościele! Oczywiście katolickim – żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości.

Jak człowiek, który nie zostanie przeszkolony, ukierunkowany i odpowiednio przygotowany może potrafić odróżnić fałszywą informację od prawdziwej, skoro w szkole mówiono, że tak i kropka.

braków w polskiej edukacji. Uczeń nie otrzymuje narzędzi, wskazówek jak odróżniać prawdę od fałszu, fake newsa czy postprawdy.

Szkoła oferuje tylko betonowy program, gdzie nie ma miejsca na żadną wątpliwość. Nie pokazuje się, że tutaj nauka ma wątpliwości, bo może być tak, a może być inaczej. Nie ma tłumaczenia,

Polska jest państwem katolickim. Naturalnie w każdej klasie musi być krzyż, a katecheta rozstawia resztę nauczycieli po kątach. Lekcje etyki to farsa, bądź nie ma ich wcale. O patetycznych, bogoojczyźnianych imprezkach okolicznościowych z tzw. „Żołnierzami wyklętymi” na sztandarach nie wspomnę przez grzeczność.

Chyba każdy to zna. Tak jest ze wszystkim. Nawet – jak widać po ostatniej reformie – program podlega aktualnie panującym trendom. Szkoła zamiast uczyć funkcjonowania razem z innymi i bycia otwartym na świat, wyklucza. Jak czuje się ateista albo ktoś o wierze innej, niż chrześcijańska w szkole, gdzie pełno jest krzyży? Jak może czuć się człowiek o innym kolorze skóry, gdy nauczyciel manifestuje swoje ksenofobiczne poglądy? Albo uczeń o poglądach odmiennych, niż te reprezentowane przez przewodnią siłę narodu?

Zamordyzm w demokracji

Kolejny punkt na mojej czarnej liście, to kompletny brak demokracji w szkole. Ostatnio dużo się o niej mówi. Szczególnie często robią to poprzedni rządzący, choć za ich czasów demokracja również szwankowała na wielu poziomach. Nie zrobili nic, aby zmienić anachroniczne i wprost feudalne stosunki na linii nauczyciel-uczeń. To śmieszne, że w szkołach należących do, podobno, demokratycznego państwa, panuje zamordyzm. Uczniowie nie mogą decydować o szkole, jej życiu, czy o tym, jak mają wyglądać lekcje. Nauczyciel ma władzę autorytarną. Samorząd szkolny i klasowy może, co najwyżej, uezierać pieniądze na wycieczkę, albo zająć się organizacją pocztą walentynkowej.

Z kolei nauczyciel może bez konsekwencji epatować ideologią. Co mu zrobisz? Pójdiesz do dyrektora? O wszystkim się dowie i nie masz życia. Interwencja rodziców? Ten sam skutek. Możesz się zawsze przepisać. Nikt cię na siłę nie trzyma...

Matematyka przekleństwem nauk

Ostatni punkt listy – ale nie mniej ważny – a zarazem największe przekleństwo wielu, albowiem szczęśliwi ci, którzy matmy na maturze pisać nie musieli. Ile to już trwa? Długo, o wiele za długo. Kolejne roczniki katowane są matematyką. Ktoś kiedyś sobie wymyślił, że trzeba ją znać, bo uczy logicznego myślenia. Teraz tacy jak ja muszą cierpieć.

Szkoła zamiast uczyć funkcjonowania razem z innymi i bycia otwartym na świat, wyklucza.

Owszem, matematyka w pewnym sensie rozwija i jest potrzebna. Pytanie tylko, czy jest aż tak uniwersalna, że każdy musi ją zdawać na maturze? Wielu uczniów, których mało co łączy z matematyką i którzy nie planują się z nią wiązać, ma spore problemy z tym przedmiotem. Czy wynika to z lenistwa? Nie – wiem sam po sobie, że w wielu przypadkach, chociaż się staram, to mi nie wychodzi.

Potwierdza to ostatni raport NIK-u¹ dotyczący matematyki, w którym możemy przeczytać, że „obowiązkowy egzamin maturalny z matematyki nie stanowi sam jako taki wartości dodanej w procesie nauczania w szkołach ponadpodstawowych kończących się maturą”. Co więcej NIK zauważa, że: „[matura z matema-

tyki – przyp. red.] jest istotnym obciążeniem (czas i koszty korepetycji, stres) dla prawie jednej trzeciej osób kończących ten typ szkoły”. W raporcie możemy również przeczytać, że w pewnym sensie egzamin maturalny z matematyki dla niektórych może być jedynie przeszkodą stojącą na drodze do wymarzonego zawodu: „osoby nieplanujące związków z przedmiotami ścisłymi w swej dalszej ścieżce kształcenia mogłyby w sposób bardziej efektywny skupić się na przedmiotach istotnych z punktu widzenia ich dalszej drogi zawodowej”.

Największą wadę nauczania matematyki NIK² upatruje w złej dydaktyce. Raport wskazuje, że kiepskie wyniki wynikają często z tempa i zadań niedostosowanych do potrzeb uczniów, a także nieefektywnych metod nauczania.

Tak więc zagorzałym fanom matematyki życzymy więcej wrażliwości względem potrzeb uczniów, a mniej dogmatyzmu.

Zmiany, zmiany, zmiany

Nie, nie podejmę się omawiania reformy edukacji. Niech wystarczy to, że jako maturzysta mam tygodniowo kilkanaście godzin zajęć mniej niż uczeń 8. klasy szkoły podstawowej. Wszystko zaczyna się i kończy na ludziach. Oświatą kierują osoby zupełnie odległe od szkolnych realiów, którzy kopiując stare, anachroniczne wzorce, czynią z niej przestarzałą, odpychając instytucję, która potrafi jedynie zniesmaczać, zamiast zachęcać do nauki i kreować świadomych obywateli. ♦

¹ Na podstawie omówienia raportu Naczelnej Izby Kontroli „Matematyka do poprawy” opublikowanego 19 lutego 2019 roku <https://www.nik.gov.pl/aktualnosci/matematyka-do-poprawy.html>

² op. cit

Adam Konieczny

Edukacja muzyczna w erze kapitalizmu

Edukacja muzyczna, muzyka to chyba najbardziej lekceważony, niedoceniany przedmiot w polskiej szkole. Nikt tak naprawdę nie wie, po co on komu. Można odnieść wrażenie, że twórcy podstaw programowych (niezależnie od opcji sprawującej władzę) najchętniej pozbyliby się jej ze szkół całkowicie. Raz – wprowadzając twór „sztuka”, który to miał dać namiastkę edukacji muzycznej i plastycznej. Uczniowie przez pół roku mieli zajęcia z muzyki a w kolejnym semestrze z plastyki. Ocena na świadectwie była wspólna, uśredniona. Innym razem, w szkole średniej, wprowadzono przedmiot „wiedza o kulturze” – mieszkankę wybuchową historii sztuki, muzyki, filmu, teatru itd. Wszystko to przy jednej godzinie w tygodniu. Nawet wśród samych rodziców raczej trudno usłyszeć nawoływania do zwiększenia ilości zajęć muzycznych, jak to się dzieje w przypadku choćby języka obcego lub matematyki. Muzyka jest traktowana, co najwyżej, jako rozrywka. Nie powinien dziwić taki stosunek do edukacji muzycznej. W końcu jest to dziedzina przynosząca niewielki zysk wielu albo wielki zysk niewielu. Inaczej rzecz ujmując, ktoś kiedyś dokonał rachunku zysków i strat, i stwierdził, że w systemie kapitalistycznym edukacja muzyczna się po prostu nie opłaca. Muzyka to taka trochę duchowość wymykająca się temu, co nazwane, co mierzalne. Mało

praktyczna w systemie, społeczeństwie nastawionym na wynik i zysk. Nie jest to przedmiot dający realną pracę.

Jeżeli jednak pogrzebać trochę głębiej, to można dokopać się do wielu korzyści płynących z edukacji muzycznej. Muzyka pełni funkcje społeczne i psychologiczne. Otwiera możliwość spotkania się, dyskusji i zrobie-

muzykowaniu można poczuć ten stan – że jesteśmy razem.¹

Muzyka jest językiem. Językiem chyba najbardziej uniwersalnym ze wszystkich, ponieważ działa na każdego i jest dla wszystkich zrozumiała. Różny jest tylko jej odbiór, bo z całą pewnością nie ma na świecie dwóch, tak samo słyszących oraz w ten sam

Edukację muzyczną sprowadzono do historii muzyki i wkuwania na pamięć dat narodzin i śmierci kompozytorów.

nia czegoś wspólnie. Uczy pracy w grupie, wzajemnego słuchania. Za przykład może posłużyć tu relacja Joanny Bronisławskiej – artystki, pedagogi i animatorki kultury – z jednych z wielu prowadzonych przez nią warsztatów muzycznych:

Dzisiaj na warsztatach, które prowadziłam dla dzieci i rodziców, rozdałam instrumenty. Nikt z nas się nie znał, widzieliśmy się wszyscy po raz pierwszy w życiu i po pięciu minutach byliśmy w stanie wykonać wspólną improwizację.[...] Przez te pięć minut wspólnego muzykowania dowiedzieliśmy się o sobie więcej, niż gdybyśmy rozmawiali przez dziesięć minut. To niemożliwe wymienić się informacjami w tak krótkim czasie i tak dużej grupie, a poprzez muzykę i to, jak kto grał, byliśmy w stanie już coś powiedzieć o drugim człowieku. Ale przestało nas interesować, kto jaki jest, liczyło się tylko to, co wytwarza wspólna interakcja. Wszyscy byliśmy odpowiedzialni za to, co robimy i każdy starał się zagrać najlepiej, jak potrafi. Mieliśmy poczucie wspólnoty, bo przy

sposób odbierających ją w sferze emocji, osób. Fakt ten może być początkiem wspaniałej, intelektualno-emocjonalnej wędrówki po odległych nieraz kulturach, tradycjach, w poznawaniu drugiego człowieka. Dlatego muzyka powinna być ćwiczona i traktowana, jak każdy inny język.

Oprócz tego gra na instrumentach poprawia koncentrację i koordynację, pomaga w nauce, uczy dyscypliny i ćwiczy pamięć. W krajach, w których wprowadzono dodatkowe lekcje muzyki lub obowiązkowe zajęcia z gry na instrumencie, stwierdzono, że uczniowie, którzy osiągalni gorsze wyniki w nauce, poprawili się. W Finlandii, gdzie zrównano liczbę godzin matematyki i muzyki u piątoklasistów (3 godziny w tygodniu), badania przeprowadzone w 2014 roku na setkach dzieci z ubogich rodzin wykazały, że:

„(...) lekcje muzyki pomagają w podniesieniu umiejętności czytania, pisania i umiejętności lingwistycznych. Nina Kraus, neu-

¹ Gazeta Magnetofonowa. Magazyn o polskiej muzyce. Kochanie bez kosztów, Zima 2019 S.6.

robiolog z Northwestern University, twierdzi, że choć dzieci z zamożniejszych rodzin radzą sobie w szkole lepiej niż te z ubogich, to wykształcenie muzyczne potrafi tak wpłynąć na system nerwowy, że zasypuje tę przepaść”.²

Dodatkowo uczniowie fińskiej szkoły mieli możliwość nagrania samodzielnie własnej płyty CD, sale muzyczne wyposażono w przeróżne instrumenty muzyczne, które używane były nie tylko na lekcjach muzyki, ale również wykorzystywane do zajęć przez innych nauczycieli. Uczniowie mogli dobrać sobie dodatkowe godziny muzyki, jeżeli w tym kierunku mieli zamiar podążać.

Pomimo tak wielu plusów wynikających z edukacji muzycznej, polska szkoła cierpi na: zbyt małą liczbę godzin lekcyjnych przeznaczonych na muzykę, słabo zaopatrzone (lub w ogóle niezaopatrzone) sale muzyczne, braki kadrowe, brak muzyki w pierwszych klasach szkoły podstawowej. Edukację muzyczną sprowadzono do historii muzyki i wkuwania na pamięć dat narodzin i śmierci kompozytorów. Jednak to nie braki w instrumentach są najważniejsze, bo zagrać można na czymkolwiek. Przede wszystkim brakuje szacunku do nauki muzyki. Można śmiało zaryzykować tezę, że coś takiego, jak edukacja muzyczna, w polskim szkolnictwie po prostu nie istnieje. Stworzono jakiś dziwny twór, który ma ją imitować, a który tak naprawdę niczego nie daje. Chyba że chodzi o zabijanie kreatywności i odstraszenie od muzyki – w tym to podejście sprawdza się idealnie. ♦

Edukacja muzyczna, muzyka to chyba najbardziej lekceważony, niedoceniany przedmiot w polskiej szkole

² Walker Timothy D., *Fińskie dzieci uczą się najlepiej*. Wydawnictwo Literackie 2017, s.149

Wierzę, że ludziom znudzą się szalalalacze

Wywiad z Maciejem Trzeciakiem

Maciej Trzeciak, lat 31, mieszka w Bielsku-Białej, zrobił licencjat z animacji społeczno-kulturowej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Gra na perkusji w zespole punkowym On Yer Bike, w przeszłości był związany również z grupą MoonCheese.

Obecnie zajmowanie się muzyką może być bardzo frustrujące dla kogoś, kto ma dystans, jest osłuchany i wie, że to, co robi, ma ręce i nogi. Szczególnie jeżeli ma świadomość, że jego muzyka jest grana dobrze, ma jakiś przekaz i jest bardziej muzyką niż radiowe hity.

AGNIESZKA LAMEK-KOCHANOWSKA: Od jak dawna grasz?

MACIEJ TRZECIAK: Od kiedy dostałem pierwszą parę pałeczek, czyli od podstawówki. Potem, gdy z bratem zaczęliśmy słuchać punka, jakoś naturalnie przyszła koncepcja, żeby założyć zespół i grać. Teraz wydaje mi się, że musiałem zostać perkusistą.

ALK: Chodziłeś do szkoły muzycznej?

MT: Pierwsze sznyty muzyczne zdobywałem w przedszkolu, w Kubiszówce zwanej wówczas WuCetem (śmiech). Poza tym w domu dużo słuchaliśmy muzyki. Ojciec zawsze był rockowy – wiesz, długie włosy, wąsy, okulary w grubych oprawkach (śmiech). Nim świadomie zacząłem słuchać punka, słuchałem hard

rocka. Wiele rzeczy przyszło mi naturalnie. Na początku waliłem pałeczkami po wszystkim. Uczylem się bez perkusji, grając na kolanie. Gdy w końcu usiadłem za prawdziwą perkusją, powiedziałem: „Aha, to jednak wygląda inaczej” (śmiech). Byłem na kilku lekcjach u Krzysztofa Dziedzica – bielskiego jazzmana, perkusisty, który prowadził szkołę na ulicy Cechowej. Skończyło się na trzech lekcjach, ponieważ na prywatne zajęcia nie było mnie stać.

ALK: Ważne jest, aby muzyki uczyć się poza domem? W szkole, w domach kultury?

MT: Jak najbardziej. Lekcje muzyki w takich miejscach są ważne i dobrze, że się jej uczy, ale wyrzuciłbym ze szkoły naukę gry na flecie prostym. Poza szkołą aktywność artystyczna sprowadza się do stosunkowo drogiego hobby. Jeśli nie jesteś już młodzieżą szkolną, a nadal cię to interesuje, jesteś skazany na prywatne lekcje albo zostanie samoukiem. W domach kultury – wystarczy mieszkać w pobliżu, aby to wiedzieć – nie ma prób zespołów rockowych. Można tam sklejać modele, ewentualnie tańczyć. Muzykę traktuje się jak coś dostępnego dla wszystkich, o niewysokiej wartości. Robi się różne rzeczy do muzyki, ale samą muzykę – niespecjalnie.

ALK: Dlaczego wyrzuciłbyś ze szkół lekcje gry na flecie?

MT: Chodzi o dźwięk. Flet jest trudny, dzieciak nie jest w stanie uzyskać na nim czystego dźwięku (pomijam już, że w szkołach wykorzystuje się tanie plastikowe instrumenty). To przecież frustruje. Dziecko nawet nie może poćwiczyć w domu. Zapro-

ponowałbym naukę gry na ukulele. Nawet jeśli nie jest idealnie nastrojone i nie do końca czysto złapiesz chwyt, i tak brzmi znośnie dla ucha. W szkołach powinniśmy się uczyć rytmiki i grać na bębenkach, bongosach – nie są to drogie instrumenty. Poza tym dzieciaki przyzwyczajają się, że fajnie coś robić razem.

ALK: Po co uczyć się muzyki?

MT: Aby nauczyć się wyrażać emocje. Niektórzy są dość oporni, nie potrafią rozmawiać o uczuciach, a dzięki muzyce znajdują sposób ich wyrażania. Poza tym granie muzyki jest aktem fizycznym, pomaga wyładować nagromadzone emocje. Słuchanie i granie muzyki daje pojęcie o jej strukturze, jesteś w stanie rozpoznać dobrą muzykę. Im więcej ludzi będzie się tego uczyło, tym

Kluczem jest rzetelna edukacja od szczenińczych lat.

mniej miernej muzyki będzie powstawało. Kluczem jest rzetelna edukacja od szczenińczych lat. Nie wiem, jak to teraz w szkołach wygląda, sam w podstawówce uczyłem się śpiewać, a w gimnazjum i liceum miałem wiedzę o kulturze i o sztuce, jedną godzinę tygodniowo... Nie można się w tym czasie wiele nauczyć o sztuce, a muzykę tak czy siak wszyscy zlewają.

ALK: Dlaczego zlewają?

MT: Może dlatego, że kojarzą jakieś obrazy i sądzą, że malarstwo jest takie elitarne, pokazywane w galeriach, że to sztuka wysoka. A muzykę grają w radiu i nikt nie traktuje jej poważnie.

Padła komuna, nastąpiła galopująca prywatyzacja, przestano dopłacać do kultury i edukacja muzyczna się rozwalila. Ludzie zapomnieli, że można grać na instrumentach, śpiewać w chórach i wspólnie coś tworzyć. Kapitalizm wyhodował rzesze indywidualistów. Z jednej strony można samemu grać muzykę na kompie i to jest fajne, ale z drugiej strony pozbawiamy się w ten sposób innej fajnej rzeczy – robienia czegoś wspólnie. Wszyscy znają twarze i nazwiska gwiazd, ale ludzie, którzy grają z tyłu, są znani wyłącznie nielicznym zainteresowanym. Na koncerty nie przychodzi się teraz dla zespołu, tylko dla twarzy z nazwiskiem. Przez to ginie sama koncepcja wspólnego grania.

ALK: Dużo mówisz o kolektywności w graniu czy słuchaniu muzyki. Czym dla Ciebie jest kolektywność?

MT: Decyzję o założeniu zespołu podjęliśmy właśnie jako kolektyw w opozycji. Spotykaliśmy się ze znajomymi, aby nie słuchać Britney Spears i innych gwiazdek puszcanych w radiu i telewizji. Bo robienie rzeczy z ludźmi jest o wiele bardziej wartościowe niż robienie ich samemu.

Wielcy kompozytorzy robili rzeczy genialne, ale potrzebowali zgranej orkiestry, aby ich dzieła mogły być dobrze odebrane. Nawet jeśli jesteś mistrzem, to co dalej? Nie wszystko możesz załatwić projektem solowym. Ze zderzeń różnych podejść do muzyki, różnych charakterów wychodzą rzeczy dużo ciekawsze. Kolektywność daje mi poczucie wspólnoty, spędzania czasu twórczo, ciekawie, wesoło z ludźmi, których lubię i któ-

rych polubiłem jeszcze bardziej przez to, że graliśmy razem. Gdy długo nie gram, trafia mnie szlag, nosi mnie. Gdy gram, schodzą mi negatywne myśli, bo najważniejsza jest muzyka. Wtedy jest dobrze i widzę zadowolonych ludzi. Kolektywność sama w sobie ma ogromną wartość, w muzyce też.

ALK: Jak znajdujecie sobie miejsca na próby? Czy miasto, domy kultury wspierają taką aktywność młodzieży? Podkreśle: młodzieży, która ukończyła szkoły, studia i pracuje?

MT: W Bielsku-Białej szukamy okazji – garażu – i trzymamy ją za wszelką cenę (śmiech). W Krakowie i w Katowicach są sale, które wynajmuje się za pieniądze. Domy kultury najwyraźniej nie widzą potrzeby, aby udostępniać miejsce pracującym młodym muzykom.

Kolektywność daje mi poczucie wspólnoty.

ALK: Jaka jest w waszym przypadku zależność między muzyką i hajssem? Muzyka wymaga hajsu?

Nie gramy dla hajsu. Nastawienie wyłącznie na zysk musi zabić wszystko. Kiedy człowiek myśli, co ma zrobić z życiem, a nie wyłącznie o tym, na co wydać hajs, jest bardziej kreatywny. Z drugiej strony obecnie zajmowanie się muzyką może być bardzo frustrujące dla kogoś, kto ma dystans, jest osłuchany i wie, że to, co robi, ma ręce i nogi. Szczególnie jeżeli ma świadomość, że jego muzyka jest grana dobrze, ma jakiś przekaz i jest bardziej muzyką niż to, co pro-

mowane i puszczone w radiu czy telewizji.

ALK: Czy muzyka traci swój dynamizm przez nastawienie na zysk? Czy z muzyką pop będzie lepiej?

MT: Kapitalizm zabija także muzykę, choć moim zdaniem ona nadal się rozwija, tylko trzeba poświęcić więcej czasu i energii, aby znaleźć coś sensownego. Jeśli wierzyć w cykliczność historii, to mam nadzieję, że nastąpi kolejny muzyczny boom, że ludziom znudzą się szalalalacze, których teraz słuchają. Zabawa dla samej zabawy jest przyjemna tylko przez jakiś czas, potem staje się pusta.

ALK: Jak jest z muzyką w Bielsku-Białej? Czy bezpłatne koncerty organizowane przez miasto w czasie wakacji są wystarczające? Co dają festiwale, na które wejściówka kosztuje nawet 900 złotych?

MT: Zadymka Jazzowa, letnie koncerty, Dni Bielska-Białej są jak igrzyska – drogie dla snobów, darmowe dla plebsu. Moim zdaniem ani tu, ani tam nie chodzi o muzykę. Mam wrażenie, że prezydent i urzędnicy miejscy nie słuchają muzyki.

ALK: Myślisz, że brak dbałości o poziom muzycznej kultury w mieście to tylko problem osłuchania się z muzyką?

MT: Nie tylko. My wszyscy mamy problem z niedocenianiem emocji w życiu, a o emocje stale trzeba dbać i temu dobrze służy muzyka. Wspólne granie i śpiewanie sprzyja zacieśnianiu więzi. Muzyk, podobno, ma większą łatwość rozwiązywania problemów życiowych – zdolność do organizacji i improwizacji,

o to w tym chodzi. Słuchanie muzyki tworzy grunt, daje ci wiedzę na temat techniki grania. No i słuchając muzyki, oswajasz się z rytmem. Chodzisz czy sprzątasz i nawet nie wiesz, że robisz to do rytmu. Zmienia się motoryka ciała. Codzienne czynności, których nikt nie lubi robić, stają się znośne, gdy nucisz, nawet jeśli są to *Majteczki w kropeczki*.

ALK: Zespołów kobiecych jest o wiele mniej niż chłopięcych. Dziewczyny i kobiety nie garną się do grania muzyki?

MT: Mogę mówić wyłącznie z perspektywy punkrockowej. Czasem dziewczyny rezygnu-

Muzyka ma większą łatwość rozwiązywania problemów życiowych

ją z aktywności scenicznej, bo trudno im znieść niewybredne uwagi typu „Ale ta perkusistka ma fajne cycki”. Sam zresztą byłem świadkiem podobnego zajścia, skończyło się spuszczeniem facetowi manta, gitarzystka dostała za to brawa. Takie zachowania wciąż występują. Dopiero teraz uświadamiamy sobie, co z nami zrobił patriarchat. Punk rock od początku był bardziej świadomy tych problemów. Kobiecte zespoły zawsze stanowiły część sceny muzycznej i pojawiają się nadal, między innymi dzięki takim inicjatywom jak Girls Rock Campy. W Bielsku takie działania są inicjowane przez działaczki z Fundacji Pozytywnych Zmian. Zespół, który współtworzyłem, MoonCheese, miał w składzie dwie gitarzystki. ♦

Marzena Kocurek

Rewolucja wśród dźwięków gitar

Wyobraź sobie świat, w którym jest miejsce dla każdej osoby – niezależnie od tego, skąd pochodzi, jakim mówi językiem, czy jakiej jest płci lub orientacji. W którym wartością najwyższą jest wzajemny szacunek, troska o innych, odpowiedzialność za świat i za siebie nawzajem. Taki świat powstał na dokładnie siedem dni – bo tyle trwała pierwsza i zapewne nie ostatnia międzynarodowa edycja obozu rockowego Music Empowerment Mobility and Exchange.

Na siedem dni na terenie berlińskiej akademii muzycznej jedenaście organizacji z dziesięciu krajów Europy stworzyło świat, w którym inność jest atutem, a nie przyczyną dyskryminacji. Świat, w którym jesteśmy otwarci/-te na siebie nawzajem i uważni/-e. Świat, w którym mimo barier językowych i różnic mentalnych możemy porozumiewać się za pomocą muzyki – uniwersalnego języka i jednocześnie narzędzia zmiany.

Girls rock!

Ale zacząć należałoby od początku – narodzin i rozwoju idei „Girls Rock Camp”, czyli obozów rockowych stworzonych najpierw dla dziewczyn, a potem kobiet. Pomysł narodził się w Stanach Zjednoczonych ponad dwie dekady temu. Początkowo organizacja obozów, na których dziewczyny uczą się od podstaw gry na instrumentach, a potem

zakładają własne kapele i grają finałowy koncert, miała być panaceum na małą reprezentację kobiet w muzyce rockowej (wg różnych danych – 25%). Bardzo szybko stało się jednak jasne, że obozy „działają” również na innych obszarach, wzmacniając pewność siebie uczestniczek, przekazując pozytywne wzorce kobiet – nauczycielek i trenerek, które tworzą muzykę, organizują wydarzenia, szefują organizacjom pozarządowym itp. Muzyka rockowa stała się tutaj narzędziem równościowej i antydyskryminacyjnej edukacji.

W Polsce GRC zaczęły powstawać w 2014 r. za sprawą bielskiej Fundacji Pozytywnych Zmian i krakowskiego Stowarzyszenia Kobieta Transmisja, które na początku wspólnie, potem już osobno, organizowały obozy rockowe dla dziewczyn. Bardzo szybko, bo już rok później, zaczęły też funkcjonować obozy rockowe dla kobiet. Girlsrockcampowa machina ruszyła, a Polska dołączyła do międzynarodowej sieci Girls Rock Camp Alliance, która zrzesza organizatorki obozów rockowych z całego świata.

Co roku w innym kraju Europy ma miejsce konferencja, która ma na celu wymianę doświadczeń, wsparcia czy wreszcie określenia kierunku, w którym zmierza ruch. Na jednej z nich pojawił się pomysł, by wspólnie zorganizować międzynarodową edycję obozu, w której osoby z różnych krajów wykorzystają swoje doświadczenie i podzielią się ze sobą dobrymi praktykami. Musiało jednak minąć kilka lat, by do skutku doszło MEME – Music Empowerment Mobility and Exchange.



Rozwój – wzmocnienie – zmiana

W lipcu 2018 roku w Berlinie trzydzieści osób w rolach lider-skich wspierało sześćdziesiąt osób uczestniczących w obozie w tworzeniu muzyki, organizowaniu wydarzeń i przestrzeni, w której się rozgrywały, oraz w prowadzeniu dokumentacji wszystkiego, co się działo. Dzięki temu uczono się również od siebie nawzajem, poznając dobre praktyki z różnych krajów i dzieląc się doświadczeniami. Co wieczór odbywały się zajęcia z autorefleksji – sprawdzające, na jakim etapie są uczestnicy i w jaki sposób można wzmocnić ten proces.

Na międzynarodowym obozie powstało siedem zespołów, w których zderzyły się różne wrażliwości, doświadczenia i światopoglądy. Wszystko to zostało zawarte w autorskich utworach, które zostały zaprezentowane podczas finałowego

koncertu. Wybrzmiały z całą mocą, siłą i przekonaniem, że świat trzeba i można naprawiać, zaczynając zmianę od siebie.

Obóz, oprócz muzyki, obfitował też w różnego rodzaju warsztaty: nagrywania dźwięku, gry na syntezatorach, samodzielnego tworzenia i miksowania muzyki, instrumentów pedalowych itp. Jednak w programie znalazły się również warsztaty asertywności i samoobrony metodą WenDo (prowadzone przez Alinę Kulę z Fundacji Pozytywnych Zmian) oraz dotyczące zdrowia psychicznego czy metod relaksacji.

Ten intensywny czas można było odreagować podczas wieczornych aktywności, w trakcie których zaprezentowane zostały zabawy z różnych krajów, śpiewane i tańczone wspólnie piosenki podczas karaoke. Wszystko to w wakacyjnym klimacie – pogoda okazała się więcej niż łaskawa i sprawiła,

że wioska bungalowów w lesie stała się magicznym miejscem, w którym działy się cuda.

D.I.Y. w praktyce

Podczas koncertu berlińskich kapel wokalistka i gitarzystka jednej z nich w symbolicznym geście przekazała jednej z uczestniczek kampu swoją gitarę. Ten gest nie oznaczał jedynie „przekazania pałeczki” kolejnemu pokoleniu kobiet na muzycznej scenie. Był czymś więcej – świadectwem ciągłości „herstorii” i kobiecej solidarności, która jest fundamentem obozów rockowych.

A sam koncert był rozgrzewką i próbą generalną przed sobotnim finałem – przede wszystkim dla członkiń zespołów mediowego i organizacyjnego, które przygotowywały i nagłaśniały wydarzenie, a także je dokumentowały. Trzaskały migawki aparatów fotograficznych, pełną parą pracowały

kamery, a wszystkie zespoły i osoby występujące zostały sumiennie przepytane.

Finałowa petarda

Krążąc po salach, w których odbywały się próby, można było zorientować się, że sobotni koncert okaże się prawdziwą petardą. Rzeczywistość jednak przerosła wszelkie oczekiwania. Siedem zespołów zafundowało zgromadzonej publiczności dawkę nie tylko solidnego rocka, ale też techno, elektro, a nawet metalu. Sobotni koncert był ich świętem i jednocześnie ukoronowaniem ciężkiej, sześciodniowej pracy. Pokazał uczestniczącym w obozie osobom, że mogą osiągnąć wszystko czego tylko zapragną, jednocześnie nie rezygnując z siebie i pielęgnując swoją odrębność i niepowtarzalność. Na zakończenie koncertu i tym samym obozu, z mocą ponad sześćdziesięciu gardeł wybrzmiało „Imagine” Johna Lennona, którego proste prze-

ślanie okazało się uniwersalne dla osób pochodzących z ponad dziesięciu różnych krajów.

Konferencja w Belgradzie

O wszystkim, co wydarzyło się w Berlinie, można było porozmawiać – już na spokojnie

Wybrzmiały z całą mocą, siłą i przekonaniem, że świat trzeba i można naprawiać, zaczynając zmianę od siebie.

– na wrześnieowej konferencji w Belgradzie. Ocenic rezultaty, omówić i dopracować to, co nie do końca „zagrało”, przygotować plan kolejnego międzynarodowego kampu – bo co do tego, że odbyć się powinien, żadna z osób uczestniczących w konferencji nie miała najmniejszych wątpliwości. Międzynarodowy obóz w Berlinie pozwolił na spotkanie różnych sposobów organizacji obozów muzycznych dla młodych ludzi, wymianę dobrych praktyk i poczucie, że jesteśmy częścią większej, światowej całości. Razem uczest-

niczymy w rewolucji, która już nadchodzi – wśród dźwięku gitar, basu i perkusji. I której kolejna odsłona już w tym roku – tym razem w Islandii.

Wspieranemu przez program Erasmus Plus i trwającemu siedem miesięcy projektowi przewodziła Stelpur Rokka

z Islandii w partnerstwie z lokalnymi organizacjami: Ruby Tuesday e.V. z Niemiec oraz OPA / Femix z Serbii wraz z delegacjami następujących organizacji: Fundacja Pozytywnych Zmian (Polska), Girls Rock Dublin (Irlandia), Girls Rock London (Wielka Brytania), Girls Rock! Finland (Finlandia), JM / LOUD (Norwegia), Pink Noise (Austria), Popkolle (Szwecja) oraz Stowarzyszenie Kobieta Transmisja (Polska). Wszystkie te organizacje należą do międzynarodowej sieci Girls Rock Camp Alliance. ♦



Agnieszka Pietrzak

Niewolnice II RP. Joanna Kuciel- Frydryszak *Służące do wszystkiego*

Były do wszystkiego i robiły wszystko: sprzątały, gotowały, prały, paliły w piecach, robiły zakupy, zajmowały się dziećmi. Ich dzień pracy trwał czternaście godzin, wolne dostawały raz na tydzień, dwa... albo i wcale.

Stosunki między służbą a państwem w XX wieku pozostawały czysto feudalne.

Nie miały życia prywatnego ani praw pracowniczych. Pozostawały też dotychczas niemal nieobecne w edukacji i świadomości historycznej – tak jak kiedyś, nie dla nich wejście od frontu, tylko wąskie kuchenne schody.

W polskim reportażu historycznym można ostatnio zaobserwować trend, polegający na przywracaniu pamięci o drugo- czy trzecioplanowych bohaterach naszych dziejów. A dokładniej: bohaterkach. Joanna Ostrowska w *Przemilczanych* upomina się o przymusowe pracownice seksualne z czasów hitlerowskiej okupacji, Marta Madejska w *Alei Włókniarek* oraz Alicja Urbanik-Kopeć w *Aniele w domu*, mrówce w pracy pochylają się nad robotnicami z fabryk włókienniczych, a Joanna Kuciel-Frydryszak opowiada o międzywojennych służących. Z szarego tła, niewidocznego za plecami ludzi z nazwiskami, osiągnięciami i hasłami na Wikipedii, autorki wydobywają kontury i kształty,

usiłując wypełnić luki w zbiorowej pamięci.

Kasie i Marysie

Po okresie zaborów i I wojnie światowej mało kto mógł sobie pozwolić na utrzymywanie licznej służby. Pojawiło się wówczas i upowszechniło stanowisko „służącej do wszystkiego” – kobiety, która w pojedynkę zajmowała się prowadzeniem domu „państwa”. Do pracy tej zatrudniano głównie napływające masowo do miast wiejskie dziewczyny, ubogie i bez

wykształcenia. „Zatrudnienie” to zresztą określenie mocno na wyrost, w rzeczywistości mowa raczej o niewolnictwie. Stosunki między służbą a państwem w XX wieku pozostawały czysto feudalne – przyjęta do takiej pracy kobieta przechodziła w zasadzie na własność swoich chlebodawców. Jej podległość była podkreślana na każdym kroku, zarówno jeśli chodzi o warunki życia, jak i sferę symboliczną: zakaz używania drzwi frontowych, jedzenia tych samych produktów (służące mogły na przykład nie dostawać białego chleba czy masła), ubierania się podobnie jak pani czy stosowania makijażu, obowiązek zwracania się do państwa wyłącznie w pozycji stojącej, nocowanie w kuchni czy zawilgoconym pokoiku bez okien, nawet kiedy mieszkanie zajmowało całe piętro kamienicy, a dzieci miały do dyspozycji trzy pokoje zabaw. Kuciel-Frydryszak pisze o służących głodzonych i bitych (prawo zezwalające

na stosowanie wobec służby kary chłosty zniesiono dopiero w 1946 roku). Tak zwane wychodne przysługiwało im na cztery godziny w każdą niedzielę albo rzadziej, a panie i tak bardzo się martwiły tym, jak służące spędzają wolny czas, co wybrzmiało szczególnie mocno, gdy w latach trzydziestych pojawił się postulat, by ograniczyć czas ich pracy do (zaledwie!) dwunastu godzin dziennie. Nie mogły one oczywiście wyjść za mąż (równało się to utracie posady: dwóch domów prowadzić się nie da) ani wychowywać własnych dzieci. W prasie pracownice domowe nazywano lekceważąco Kasiami i Marysiami; nierzadko zdarzały się sytuacje, gdy wszystkie kolejne służące w danym domu otrzymywały to samo imię. Odmawiano im w ten sposób odrębności i indywidualności; nie były w pełni osobami, a raczej sprzętem domowym – urządzeniem wielofunkcyjnym, model Pelasia.

Urodzone, by służyć

Prowadzony przez Kuciel-Frydryszak katalog krzywd wyrządzonych służącym jest długi: nędza, samotność, upokorzenia, przemoc seksualna, nieślubne dzieci topione w ustępach, śmierć w przytułku... Oczywiście zdarzały się też dobre domy i „dobra służba”; przeprowadzka do miasta i praca zarobkowa dla wielu dziewczyn oznaczała awans społeczny, możliwość odmiany losu. Autorka przytacza wiele wzruszających historii służących, które stawały się członkami rodziny i dożywały swoich dni pod opieką dawnych pracodawców. Pozytywny wydźwięk ma również część opowiadająca o II wojnie światowej

i opisane w niej przypadki kobiet idących za państwem do gett, przechowywujących żydowskie dzieci, opiekujących się ukończanymi paniami, nawet gdy te nie miały już z czego im płacić. Dominujący pozostaje jednak mroczny obraz: w ulubionej epoce Polaków, mitologizowanym dwudziestolecu międzywojennym istniał znakomicie funkcjonujący i powszechnie aprobowany system wykorzystywania ludzi (pod koniec lat trzydziestych w ramach służby domowej pracowało pół miliona osób, z czego dziewięćdziesiąt sześć procent stanowiły kobiety). Joanna Kuciel-Frydryszak przyczyn takiego stanu rzeczy upatruje w silnie zakorzenionych ideałach szlachecko-ziemiańskich, a także lęku uprzywilejowanych – w obliczu postępujących (choć powoli) zmian społecznych – przed utratą pozycji i władzy. Niebagatelną rolę w legitymizacji stosunków służba–państwo odgrywał Kościół katolicki. Ruchy lewicowe, rozwijające się w środowiskach robotniczych, nigdy nie zyskały podobnej pozycji ani wpływów wśród służących. Opiekę nad tą grupą sprawował Kościół. Służące wywodziły się z religijnych domów, parafia była też często jedynym miejscem, gdzie mogły spotkać inne pracujące kobiety. Najprężniejszy „związek zawodowy” służących, katolickie stowarzyszenie pw. Świętej Zyty, gwarantował swoim członkiniom dach nad głową w razie zwolnienia oraz miejsce w przytułku, gdy były już za stare, by pracować. Realna i w wielu przypadkach nieoceniona pomoc nie wiązała się jednak z dążeniem do zmiany ich sytuacji. Duchowni oraz katolicycy publicyści doradzali pokorną akceptację

swojego losu; tłumaczyli, że każdy człowiek jest predestynowany do określonych zadań, a walka z ustalonym przez Boga porządkiem świata to grzech.

Co było, a nie jest...?

Książka Joanny Kuciel-Frydryszak (jak i inne wymienione wcześniej) daje nadzieję na zmianę podejścia do pisania o historii, a w dalszej perspektywie – jej nauczania. Potrzebujemy historii ludowej, historii przemian zamiast wymieniania nazwisk i dat. Równie ważne jest opracowanie kobiecej historii Polski, wydobyć z zapomnienia nie tylko tych nielicznych jednostek, którym udało się przeskoczyć społeczne i kulturowe ograniczenia, lecz także cichej, niepozornej większości. Służące do wszystkiego skłaniają też do bardziej współczesnej refleksji. Nadal przecież są ludzie wykonujący taką pracę – na niewiele lepszych warunkach – i nadal są to głównie kobiety. Mowa i o ukraińskich „całodobowych” pomocach domowych u nas, i o polskich opiekunkach osób starszych i niepełnosprawnych na Zachodzie (tu polecam reportaż Anny Wiatr Betrojerinki). W jeszcze szerszym ujęciu, rozwój nowych technologii doprowadził do sytuacji, kiedy każdy pracownik jest dostępny dla pracodawcy w zasadzie przez cały czas. Wciąż podtrzymujemy pewne struktury – choć pod innymi nazwami. Jak mówi autorka: Przeszliśmy głęboką transformację społeczną, ale skłonności do dominacji i wykorzystywania słabszego pozostały¹. ♦

¹ Olga Wróbel, 14 godzin harowy to pestka [Rozmowa z Joanną Kuciel-Frydryszak], www.krytykapolityczna.pl/kultura/czytaj-dalej/ 14-godzin-harowy-to-pestka/ [dostęp: 16.03.2019].

Małgorzata Koniorczyk

„Szpiegówki – nowomowa czy nasze dziedzictwo”

Takie słowa – członkini, działaczka, aktywistka, uczennica, mówczyni, prezeska, twórczyni – są prawdziwe, opisują rzeczywistość? Istnieją kobiety, które można określić tymi słowami? To dlaczego tak mało miejsca w naszym języku mówionym i pisanym dla tych żeńskich form określających zawody czy funkcje? Dlaczego taka niechęć wobec ich stosowania? Skąd zarzuty, że to nowomowa i kolejna fanaberia feministek?

O kobiecie wołał napisać – zastępca!

Gdy zaczęłam świadomie i konsekwentnie stosować feminy – bo tak właśnie nazywają się te żeńskie formy – to z całą mocą poczułam opór przed nimi naszej polskiej rzeczywistości. Spotkała mnie nawet cenzura ze strony mężczyzny sprawującego funkcję redaktora naczelnego lokalnej gazety. W krótkim tekście, jaki napisałam o spacerze szlakiem kobiet i o wykładzie, gdzie kobiety opowiadały o kobietach – bez mojej wiedzy i zgody redaktor zmienił użyty przeze mnie zwrot „zastępczyni wójta” na „zastępca wójta”. O kobiecie wołał napisać – zastępca! A co widzimy oczyma wyobraźni, gdy mówimy „zastępca”? Mężczyznę widzimy! Kobieta znika, nie ma jej, nie sprawuje funkcji, i w domyśle – nie

jest ważna. Taki dla mnie jest wydzźwięk tego lekceważenia, odrzucenia żeńskiej formy.

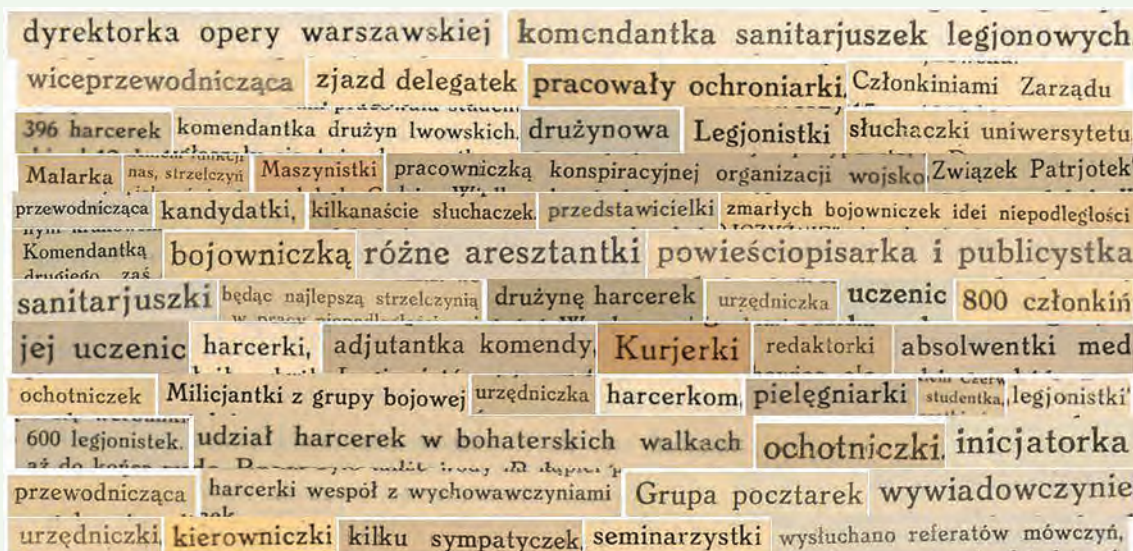
To, jak mówimy, jakich używamy słów – pokazuje nasze odczuwanie, odbieranie świata. Ale też słowa świat stwarzają, słowami kreujemy rzeczywistość, nadajemy ważność osobom, wydarzeniom, zjawiskom. Albo odbieramy tę ważność. „Zastępca” dla niektórych brzmi dumnie, „zastępczyni”... już nie? Cenzura, jaka mnie spotkała, wywołała we mnie złość. I wtedy sięgnęłam po dwie książki z mojej biblioteczki. Znalazłam je kilka miesięcy wcześniej w internetowym antykwariacie. Oryginalne, przedwojenne wydania. Były to „Wierna służba. Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość, 1910 – 1915” z roku 1927 oraz „Służba ojczyźnie. Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość, 1915-1918” z roku 1929. W komitecie redakcyjnym tych książek znalazły się m. in.: Aleksandra Piłsudska (jako redaktorka naczelna), Maria Rychterówna, Wanda Pelczyńska i Maria Dąbrowska.

FEMINATYW (liczba mnoga feminatywy / feminatywa) – określana w językoznawstwie nazwa żeńska. Feminatywy to rzeczowniki rodzaju żeńskiego, które utworzono od rzeczowników męskich, dodając do nich wykładnik żeńskości. Wskazują żeńskość i są potocznie zwane „żeńskimi końcówkami”. Feminatywy nazywają kobiety ze względu na przysługujący im tytuł, pełnioną funkcję, zajmowane stanowisko oraz wykonywany zawód, a także ze względu na przynależność narodową, pochodzenie, wyznanie, przekonania, właściwości psychiczne i fizyczne, wykonywane czynności itp. [źródło definicji: Wikipedia]

I w tych książkach napisanych przez kobiety o kobietach – są! Są żeńskie formy! To był okres, kiedy Polacy i Polki walczyły o niepodległość. I był to również czas, gdy nabrała siły rozpoczęta pod koniec XIX wieku walka kobiet o ich prawa. O prawa wyborcze, o prawo do studiowania, o prawo do publicznego zabierania głosu i aktywności społecznej oraz politycznej. I te dzielne kobiety, te bojowniczkі miały świadomość, jak ważne są słowa i tak właśnie o sobie mówiły i pisały. A ja sięgnęłam po słowa naszych przodkiń,

wyciągnęłam je z książek i zrobiłam z nich te kolaże. Bo potrzebowałam argumentu, bo chciałam pokazać, że już sto lat temu takie formy istniały. Sięgnęłam również do prasy sprzed roku 1918, i znalazłam w cyfrowych bibliotekach całe roczniki „Kurierów Lwowskich” i „Kurierów Stanisławowskich”. I również w tych gazetach, w prasie, są używane żeńskie nazwy.

Czyli to nie jest nic nowego, feminatywy w języku polskim nie zostały nagle sztucznie stworzone. Używając ich obecnie po prostu je przypomi-



namy. Przypominamy, bo zniknęły z naszego języka, a później z naszej świadomości. Zniknęły za sprawą ustroju i władzy, jaka zapanowała w Polsce po roku 1945. Komunistyczne rządy celowo i planowo niszczyły przedwojenną inteligencję, niszczyły również wszystko, co stanowiło zagrożenie dla ustroju PRL-u. I właśnie wtedy zniknęły też żeńskie formy wyrazów. Zniknęła także wolność, jakkolwiek wolność, w tym wolność kobiet. Komunizm upadł w 1989 r., zmieniła się sytuacja polityczna i społeczna, a żeńskie formy ciągle nie mogą się przebić do powszechnego użytku.

Ciekawy jest również fakt, że im wyższa funkcja i ważniejsze stanowisko – tym rzadziej dopuszczane są żeńskie formy. Zupełnie „normalnymi”, powszechnie używanymi wyrazami są – nauczycielka, sprzątaczką, pielęgniarka, opiekunka, ekspedientka, bibliotekarka, kucharka, prawda? Ale już określenia – prezeska, burmistrzynie, ministra, nawet dyrektorka – nie pojawiają zupełnie w oficjalnym języku, budzą u niektórych osób wesołość i sprzeciw. Męskie formy dominują. Podkreślają ważność i powagę, pokazują kompetencje....? No nie! Nie zostawiamy tak tego! Czytelniczki i czytelnicy, koleżanki i koledzy, obywatelki i obywatele! Używajmy feminatyw! Język jest żywym tworem, im częściej i więcej będzie w naszych wypowiedziach żeńskich form, tym szybciej nastąpi zmiana tych zwyczajów językowych. I również zmiana myślenia. Słowami zmienimy świat na bardziej sprawiedliwy, czego sobie oraz Paniom i Panom życzę. ♦

Kobiety w Radzie Narodowej Księstwa Cieszyńskiego

Wywiad z Władysławą Magierą

19 października 1918 roku w Cieszynie powstaje Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, będąca pierwszym rządem lokalnym na ziemiach polskich. Na kilka tygodni przed uzyskaniem przez Polki praw wyborczych w skład Rady wchodziły trzy kobiety, co wówczas stanowiło fenomen w skali niemal całej Europy. Sto lat później, po raz pierwszy w historii Cieszyna, kobieta zostaje burmistrzynie miasta. O nauce, jaką powinniśmy czerpać z historii, oraz nowych szansach, które może ze sobą nieść wybór kobiety na stanowisko burmistrza, rozmawiamy z Władysławą Magierą, historyczką, przewodniczką beskidzką oraz autorką trzytomowej książki pt. „Cieszyński Szlak Kobiet”.

NATALIA KAŁUŻA: W Polsce kobiety uzyskały prawa wyborcze 28 listopada 1918 roku. Jednak kilka tygodni wcześniej w powołanej w Cieszynie Radzie Narodowej Księstwa Cieszyńskiego zasiadały już trzy kobiety. Dlaczego akurat w Cieszynie mężczyźni decydujący o składzie Rady przyjęli zasadę, że na każdym sześciu mężczyzn należy powołać jedną kobietę?

WŁADYSŁAWA MAGIERA:

Wiązało się to z faktem, że u nas nie było wówczas analfabetyzmu. W tej chwili nie zdajemy sobie sprawy z tego, czym jest umiejętność czytania. Jest ona dla

nas oczywista, ale sto lat temu wcale tak nie było. Ma to jeszcze głębszą genezę, ponieważ w XVI wieku, kiedy na Śląsk Cieszyński dotarła reformacja, porządku kościelne i szkolne kładły duży nacisk na edukację. Wiadomym jest, że protestanci muszą czytać Pismo Święte, w związku z tym kobiety również dopuszczano do edukacji. Sto lat temu niepodległość na naszym terenie nie została właściwie zdobyta orężem, ale przewrotem umysłowym, kiedy po Wiośnie Ludów nasiliły się działania tzw. budzicieli. Tylko nikt nie mówi o tym, że za każdą z tych ikon stoi kobieta. Jan Kubisz, twórca naszego hymnu lokalnego, pisał w swoim pamiętniku, że radzie familijnej przewodziła matka, a ojciec zasiadał tylko z głosem doradczym. Również Paweł Stalmach wspominał, że osobą, która nauczyła go liter, była matka. Działające wśród kobiet na przełomie wieków organizacje nie tylko budziły polskość, ale i przygotowywały do pełnienia nowych ról. To kobiety torowały drogę do tego, co dzisiaj jest dla nas normalnością. Nie tylko one wyprzedziły tutaj epokę, zrobili to również mężczyźni, ponieważ zrozumieli rolę kobiet. Na Śląsku Cieszyńskim na przełomie XIX i XX wieku żyło nowożytne społeczeństwo. Edukacja i kultura na tym terenie wyprzedzały o dziesiątki lat tereny innych ziem polskich.

NK: Do Rady trafiły trzy kobiety: pochodząca ze Śląska Cieszyńskiego Maria Sojkowa oraz dwie niezwykle aktywne działaczki społeczne, Dorota Kłuszyńska i Zofia Kirkor-Kiedroniowa, które na Śląsk Cieszyński trafiły za sprawą swoich mężów. Jaki był ich



DOROTA KŁUSZYŃSKA (1874 – 1952) – działaczka kobieca, członkini Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego, senatorka, posłanka.

Pochodziła z Tarnowa, od 1900r. mieszkała z mężem w Boguminie. Na Śląsku Cieszyńskim tworzyła podwaliny kobiecego ruchu socjalistycznego w Polsce. W latach 1907-1939 redagowała Głos Kobiet, wiele pisała. Walczyła o prawa polityczne kobiet.

Była inicjatorką pierwszych obchodów Dnia Kobiet w 1911r. Zasiadała w krajowych władzach Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego, należała do Międzynarodowego Sekretariatu Kobiecego Socjalistek, później do II Międzynarodówki. W okresie I wojny światowej uczestniczyła w walce o powrót Cieszyńskiego do Macierzy, była aktywną członkinią Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego. Po wojnie mieszkała w Warszawie, należała do kierownictwa Polskiej Partii Socjalistycznej. Działała w Robotniczym Towarzystwie Przyjaciół Dzieci i innych organizacjach. W latach 1925 – 1935 piastowała godność senatorki z listy PPS i Centrolewu. Ukrywając się, przeżyła II wojnę, a po wojnie jako członkini Rady Naczelnej PPS weszła w skład Krajowej Rady Narodowej. Została posłanką na Sejm Ustawodawczy. Poprawa sytuacji kobiet była jej priorytetem przez całe życie.

wkład w działalność tego organu?

WM: Dużo dowiadujemy się z pamiętników Zofii Kirkor-Kiedroniowej, która opisuje w nich nie tylko swoją działalność, ale również działalność swoich dwóch koleżanek. O ile Maria Sojka na forum Rady nie była zbyt aktywna (była lokalnie aktywna na innych polach), to zarówno Zofia, jak i Dorota miały bardzo duży wkład w pracę Rady. Były to osoby wykształcone, choć nie miały oficjalnego tytułu, posiadały wiedzę na poziomie dzisiejszej wyższej uczelni. Dorota Kłuszyńska po kolejnych zmianach kadrowych była zastępcą przewodniczącego Rady, a następnie szefową komisji likwidacyjnej tego organu. Natomiast trwała spuścizna po Zofii jest napisana wspólnie z mężem słynna proklamacja do Ludu Śląskiego, która została przyjęta przez Radę praktycznie bez poprawek.

NK: Czy członkostwo w Radzie odbiło się na dalszym życiu tych trzech kobiet?

WM: Zofia uważała, że najlepsze lata życia spędziła na Śląsku

Cieszyńskim. Jeszcze po drugiej wojnie światowej, bo akurat zarówno Zofia, jak i Dorota umarły w 1952 roku, przyjaźniła się z członkami Rady. Te panie, mimo że należały do różnych opcji politycznych, w Radzie bardzo się wspierały. Swoje osobiste ambicje odłożyły na plan drugi, uznając za najważniejsze zdobycie niepodległości i przyłączenie Śląska do Polski. Wiemy, że Dorota Kłuszyńska została zawodową polityczką, w latach 1921-1923 była radną Rady Miejskiej w Łodzi, następnie bardzo aktywną senatorką. Przeżyła wojnę w ukryciu, a po jej zakończeniu z ramienia PPS trafiła do Sejmu Ustawodawczego. Czy wierzyła, że Polska Ludowa spełni jej ideały? Tego nie wiemy. Zofia Kirkor-Kiedroniowa (z domu Grabska – przyp. red.) nie została zawodową polityczką, natomiast był taki czas, kiedy jej mąż był ministrem, brat był ministrem, drugi brat był premierem. Mówiło się wtedy, że to ona rządzi Polską. Czy rzeczywiście rządziła, tego nie wiem, ale na pewno mogła inspirować tych panów do określo-

nych działań, ponieważ to była bardzo mądra osoba, odczytana, z ogromną wiedzą historyczną. Obie panie mieszkały na Śląsku Cieszyńskim dwadzieścia lat, do podziału Śląska, i to wywarło ogromny wpływ na ich późniejsze życie.

NK: Od lat bada Pani i popularyzuje wiedzę na temat wkładu kobiet w historię i rozwój naszego regionu. Czego możemy się uczyć z tej historii współcześnie?

WM: Historia jest nauczycielką życia, jeszcze nigdy nikogo niczego nie nauczyła. W Polsce wszyscy chcą być historykami, ale często nie znając materii, sedna sprawy, oczywistych faktów historycznych, wypowiadają się na tematy historii bardzo autorytarnie. W ten sposób wyrządza się historii wiele krzywd. Coraz częściej dostrzegam również pomijanie pewnych faktów, przez co niektóre wydarzenia pokazywane są w zupełnie innym świetle. W tej chwili historia, także ta sprzed stu lat, jest wypaczana, i to nawet w Cieszyźnie, gdzie wszystko robi się pod

miejscowe układy polityczne. Pokazuje się to, co jest wygodne albo łatwe do pokazania. Nikt nie zastanawia się nad istotą sprawy. Bo to już jest za trudne.

NK: Jakie mogą być tego dalsze konsekwencje?

WM: Bardzo złe. Słyszymy na przykład historię odzyskania niepodległości do wydarzeń militarnych. U nas o stronie politycznej odzyskania niepodległości praktycznie w ogóle się nie mówi. Pokazuje się tylko rzeczy wygodne.

Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego była bardzo demokratyczna, zasiadali w niej przedstawiciele trzech różnych opcji politycznych, którzy potrafili ze sobą współpracować dla dobra sprawy...

No właśnie i tutaj mam pretensje do twórców widowiska „Sztandary Niepodległości” (wydarzenie rocznicowe zorganizowane w październiku ubiegłego roku przez ówczesne władze Cieszyna – przyp. red.). Z ich interpretacji artystycznej wynikało, że z niepodległością wiązały się wyłącznie dobro, miłość i rodzina. Niechby tak było, ale skoro ten przekaz szedł w Polskę, to powinniśmy przede wszystkim podkreślić znaczenie, tak nam dziś potrzebnej, tolerancji. Bo to ona była tym, czym wyprzedziliśmy resztę ziem polskich. Na tym, że w Radzie były kobiety, powinno się budować promocję miasta, ponieważ dla wielu Polek i Polaków jest to nadal nieznan fakt. Niestety, obchody nie poszły w kierunku pokazania tego, co jest wartościowe i co dawniej było unikatowe¹. ♦

Paweł Miech

Edukacja seksualna. Fakty i mity

Edukacja seksualna budzi w Polsce kontrowersje. Pojawiają się zarzuty, że „seksualizuje” dzieci, prowadzi do niemoralności, wpaja dzieciom i młodzieży niewłaściwe postawy. Warto więc wyjaśnić, czym jest edukacja seksualna, a czym nie jest. Czy zarzuty wobec niej są trafne?

W polskiej szkole tematyka związana z edukacją seksualną jest dziś omawiana w ramach nieobowiązkowego przedmiotu “Wychowanie do życia w rodzinie” (WdŻ). O tym, czy dziecko będzie brało udział w zajęciach,

filmy na temat szkodliwości aborcji, np. film “Niemy Krzyk”. Dzieci oglądają miniaturki płodu w celu zrozumienia, jakim grzechem jest aborcja. Nauczyciele wpajają również uprzedzenia dotyczące płci. Jedna z uczennic na zajęciach dowiedziała się, że dziewczyny mają przede wszystkim dbać o siebie i być skromne, a negatywne zachowania chłopców wobec dziewczynek mogą być usprawiedliwione, bo chłopcy tacy są.

Dziewczynkom wszczepia się też przekonanie, że każda kobieta chce mieć dzieci i powinna je mieć, ponieważ to właśnie jest jej głównym zadaniem życiowym. Na jednej z lekcji uczennice dowiedziały się, że jeśli kobieta jest gwałcona, ma “nieść swój krzyż”.

Dzieci oglądają miniaturki płodu w celu zrozumienia, jakim grzechem jest aborcja.

decydują rodzice. Zajęcia odbywają się od IV do VIII klasy szkoły podstawowej i w klasach I-III liceum.

Niestety, poziom zajęć w ramach WdŻ pozostawia wiele do życzenia, o czym możemy się przekonać, czytając raport „Sprawdzian (z)WdŻ”, przygotowany przez Grupę Edukatorów Seksualnych „Ponton”, organizację zajmującą się prowadzeniem edukacji seksualnej w szkołach. Z raportu wynika, że WdŻ to zajęcia ideologiczne, w niewielkim stopniu oparte na faktach, w dużej mierze przypominające kazanie umoralniające.

Niektóre informacje zawarte w raporcie są wręcz wstrząsające. W części szkół uczniowie w wieku 10-11 lat oglądają drastyczne

Niewiele informacji poświęca się antykoncepcji. Niepokojące jest to, że antykoncepcja jest często demonizowana przez prowadzących zajęcia. Mówi się o jej szkodliwości dla zdrowia, czasem przedstawiając nieprawdziwe informacje.

O homoseksualizmie na WdŻ nie mówi się wcale lub mówi w sposób negatywny, omawiając temat w związku z chorobami przenoszonymi drogą płciową. Zajęcia często powielają mity i stereotypy, przedstawiające gejów jako osoby rozwiązłe seksualnie. Jest to o tyle niewłaściwe, że wiele nastolatków LGBT cierpi z powodu nietolerancji czy przemocy na tle homofobicznym, a 70% ma myśli samobójcze. Edukacja w ramach

¹ Wywiad został przeprowadzony w listopadzie 2018 roku.

WdŻ raczej wzmacnia uprzedzenia, niż je ogranicza.

Niewiele uwagi na zajęciach z WdŻ poświęca się asertywności, roli świadomej zgody w życiu seksualnym. Jeśli już pojawia się temat asertywności, jest kierowany głównie do dziewczynek, w celu zachęcania ich do utrzymania dziewictwa i odmawiania chłopakom. Nauczyciele w ogóle nie informują chłopców na temat przemocy seksualnej i przekraczania granic innych osób. W wielu przekazach to kobiety są obarczane odpowiedzialnością za przemoc seksualną; dziewczynki są uczone, że nie powinny prowokować mężczyzn.

W 2017 roku uchwalono nową podstawę programową dla przedmiotu. Podstawa otwarcie powołuje się na encyklikę Jana Pawła II, a za jeden z kluczowych celów edukacji uznaje nauczanie o "świętości życia ludzkiego".

Jak ocenia Antonina Lewandowska, edukatorka seksualna z Grupy „Ponton”, poziom zajęć z WdŻ jest coraz niższy.

Edukacja seksualna w Polsce nigdy nie była na dobrym poziomie, ale ostatnio jest jeszcze gorzej. To przestają być zajęcia naukowe, oparte na wiedzy i faktach, są to zajęcia ideologiczne. Jako przykład można podać zapis w nowej podstawie programowej, który sugeruje, że uczeń lub uczennica mają ocenić stosowanie antykoncepcji z punktu widzenia moralności. Formułując program w ten sposób otwarcie wchodzimy w potępienie zachowań, czego szkoła nie powinna robić.

Efektem braku rzetelnej edukacji jest niewiedza. Grupa „Ponton” prowadzi telefon zaufania dla młodzieży; ze sprawozdania

z odbieranych telefonów wynika, że wśród młodych ludzi wciąż krąży wiele mitów na temat seksualności. Młodzi ludzie pytają, czy stosunek przerywany jest dobrą metodą antykoncepcji, czy zakładanie dwóch prezerwatyw jest skuteczną metodą lub czy można zajść w ciążę bez stosunku.

Nauczyciele w ogóle nie informują chłopców na temat przemocy seksualnej i przekraczania granic innych osób.

Głównym źródłem informacji dotyczących seksu stał się Internet, a zwłaszcza, co niepokojące, pornografia. Zdaniem Antoniny Lewandowskiej pornografia ma negatywny wpływ na seksualność młodzieży.

Z telefonów zaufania, które prowadzimy, można wnioskować, że pornografia prowadzi do licznych kompleksów i niepewności. Młodzi ludzie oglądają filmy pornograficzne, a potem zderzają się ze światem prawdziwej seksualności, bez poprawek, photoshopa, i nie potrafią sobie z tym poradzić, nie potrafią rozmawiać o seksualności, nie potrafią nabrać pewności, że ich ciało jest odpowiednie.

Jak wynika z badań na ten temat, niektóre dzieci mają kontakt z pornografią już w wieku 11 lat. Wśród nieprawdziwych przekonań, które pokutują wśród młodzieży na skutek pornografii, można wymienić sprzyjające przemocy seksualnej przekonanie o tym, że "gdy kobieta mówi, że nie chce seksu, to tak naprawdę go chce" (51% chłop-

ców uważa, że to prawda, raport "Kontakt dzieci i młodzieży z pornografią"). Panuje także fałszywe i prowadzące do kompleksów wyobrażenie, że warunkiem udanego seksu jest duży penis. W przypadku dziewczyn pojawiają się kompleksy dotyczące wielkości biustu czy kształtu własnego ciała.

Kontakt z pornografią wpływa na zachowania seksualne nastolatków. Osoby, które miały z nią do czynienia, częściej wysyłają swoje nagie zdjęcia innym. Samo wysyłanie rozbieranych selfie jest natomiast w szkołach praktyką powszechną, aż 46% siedemnasto-, osiemnastolatków otrzymało od kogoś rozbierane zdjęcie, 16% wysłało własne.

Wszystkie te zjawiska nie są korygowane przez edukację seksualną. Młodzież nie dowie się w szkole zbyt wiele na temat przemocy seksualnej czy akceptacji własnego ciała.

Problemem polskiej edukacji seksualnej jest fakt, że pojawia się ona zbyt późno.

Zdaniem Antoniny Lewandowskiej szeroko rozumiana edukacja seksualna powinna zaczynać się już we wczesnych okresach życia dziecka.

Edukacja seksualna to między innymi nauka szanowania własnych i cudzych granic. Już kiedy dziecko jest malutkie, powinniśmy mu na przykład wyjaśnić, że jeśli nie chce się przytulać do cioci, to nie musi

tego robić, może powiedzieć cioci: „słuchaj, ja nie chcę się teraz przytulić”.

Tematyka antykoncepcji powinna być omówiona w sposób neutralny, bazując na faktach i informacjach naukowych, bez wykładu moralnego; powinna pojawić się wcześniej niż obecnie.

Antykoncepcja obecnie pojawia się za późno, rozmawiamy o tym w liceum, o ile w ogóle. Tymczasem w liceum młodzi ludzie są już aktywni seksualnie, nawet jeśli nie waginalnie, to pojawia się petting, seks oralny itd.

Średni wiek inicjacji seksualnej w Polsce to 17 lat, warto jednak zaznaczyć, że jest to średnia,

Średni wiek inicjacji seksualnej w Polsce to 17 lat

a więc niektóre osoby zaczynają wcześniej, inne później. Z badań wynika, że pewien odsetek młodzieży zaczyna życie seksualne dużo wcześniej, nawet w wieku 11 lat. Co ciekawe, według badań ONZ edukacja seksualna nie wpływa na wiek inicjacji seksualnej lub wręcz go opóźnia.

Wśród zarzutów wobec edukacji seksualnej pojawia się sformułowanie, że „seksualizuje” ona dzieci. Jak zwraca jednak uwagę Antonina Lewandowska: Dziecko jest istotą psychoseksualną, czy tego chcemy czy nie, negowanie tego faktu nic nie zmieni. Edukacja seksualna to nie seksualizacja, nie pedofilia, a po prostu wiedza na temat swojego ciała i na temat seksu, oparta na najnowszych badaniach. Jest to taka sama naukowa wiedza jak biologia czy fizyka. ♦

Reforma oświaty

Wywiad z Przemysławem Sadurą

Przemysław Sadura (ur. 1977) – socjolog, adiunkt, pracuje w Instytucie Socjologii i na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Dla forum Idei Fundacji Batorego przygotował raport „Polska szkoła reform: czego możemy się nauczyć z nieudanych zmian systemu edukacji?”. Członek zespołu Krytyki Politycznej, autor książki *Państwo, szkoła, klasy*.

AGNIESZKA LAMEK-KOCHANOWSKA I MIKOŁAJ BIZOŃ: Dlaczego żadna z reform oświaty w ciągu ostatnich 50 lat nie udała się w Polsce do końca?

PRZEMYSŁAW SADURA: Reformy zwykle projektowane były przez postępową, wrażliwą społecznie inteligencję oraz ekspertów. O reformach dyskutowano w wąskich kręgach, a następnie wdrażano w sposób dość pośpieszny i często chaotyczny. Założeń reformy nie konsultowano ani z nauczycielami, ani z rodzicami uczniów. Podstawą zmian jest uczestnictwo wielu zainteresowanych osób – lubimy brać udział w tym, co sami stworzymy i wypracujemy. Wprowadzając reformy polityk publicznych trzeba mieć świadomość, że wcześniej, czy później dojdzie do dopasowania ich funkcjonowania do potrzeb lub oczekiwań różnych grup społecznych.

ALK i MB: Jeśli wygrało się wybory i sprawuje się władzę, to trzeba reformy konsultować

z innymi? Może wystarczy je konsekwentnie wprowadzić w życie?

PS: Nie, ponieważ jeśli nie wynegocjujemy kształtu systemu przed wdrożeniem zmian dojdzie do „uspolecznienia” reformy rozumianego jako jej „odkształcanie” przez różne siły społeczne w trakcie jej implementacji lub bezpośrednio po niej. Polityka publiczna przestaje być wtedy zbiorem papierowych założeń i staje się procesem, na który wpływa wielu ludzi i wiele czynników. Trzeba być tego świadomym, aby nie wypaczyć sensu tego, co chcemy wprowadzić w życie. W takiej sferze jak edukacja spotykają się rząd, samorządy, rodzice, związki zawodowe, społeczności lokalne oraz uczniowie. I każda z tych stron ma swoje zdanie i propozycje.

ALK i MB: A reformy edukacji z lat 1999 i 2015 – dlaczego nie dało się do nich przekonać ludzi?

PS: Reforma z 1999 roku była wypracowana przez ekspertów, i decydentów, którzy nie byli zainteresowani zrozumieniem potrzeb obywateli. Mając dostęp do danych, powinni wiedzieć, że szkoła, szczególnie w przypadku osób z klas ludowych jest widziana, jako miejsce ogólnie nieprzyjazne, nawet jeśli ma wysoki poziom nauczania. Dorośli źle ją wspominają, dzieci i młodzież, po prostu nie lubią jej. Gimnazjum wydłużało czas spędzany w szkole z abstrakcyjnym programem. Siedzisz w niej dziewięć lat i tylko myślisz, kiedy zaczniesz się uczyć czegoś praktycznego.

ALK i MB: A obecna reforma edukacji z 2015 roku – co jest jej istotą?

PS: Na pewno ta reforma nie pozwoli odejść od modelu XIX-wiecznego, a więc szkoły opartej raczej na przekazywaniu wiedzy niż jej zdobywaniu, nastawionej na wychowanie i wypuszczenie ucznia na rynek pracy. No i dochodzi jeszcze wykorzystanie systemu oświaty, jako narzędzia indoktrynacji społecznej poprzez treści programowe.

ALK i MB: Czy obecnie wprowadzana reforma podniesie jakość nauczania i obniży poziom nierówności? Czy dzieci z rodzin biedniejszych stracą na reformie?

PS: Stracą. PiS, szukając poparcia, zajął się postulatami środowisk mniej zamożnych, a nie ich interesami. To obniżenie wieku szkolnego, a nie jego podniesienie, jest w interesie osób o niższym statusie społeczno-ekonomicznym. Ale te osoby nie miały tego świadomości, bo PO z nimi nie rozmawiała – wdrażała i już. Ta reforma wywrze odwrotne efekty, niż obecna władza deklaruje. Likwiduje się gimnazja, które słabo ale jednak wyrównywały szanse, jednocześnie wycofując się z reformy, która pozwalała rozpocząć szkołę o rok wcześniej. No i przede wszystkim na całe lata uniemożliwia się gruntowne reformowanie systemu edukacji. Trudno dziś sobie wyobrazić, że krótko po zwycięstwie politycznym czy lewica, czy liberalne centrum zmieniają system edukacyjny.

ALK i MB: Od wdrożenia ostatniej reformy minęły już 4 lata i coś już o niej wiemy. Jak ludzie na nią reagują w praktyce?

PS: Rośnie zainteresowanie szkołami prywatnymi, bo one

**Na pewno
ta reforma nie
pozwoli odejść
od modelu
XIX-wiecznego,
a więc szkoły
opartej
raczej na
przekazywaniu
wiedzy niż jej
zdobywaniu**

reagują szybciej i lepiej na reformę niż publiczne. Zmiana sieci szkolnej, likwidacja gimnazjów i wzrost liczby uczniów w podstawówkach sprawiły, że niektóre z tych ostatnich są skrajnie zatłoczone.

ALK i MB: Co właściwie odróżnia PiS od poprzednich rządów pod względem stylu i celu wprowadzania reform?

PS: Wszystkie reformy, które omawiam w swojej książce, na pierwszy plan wysuwały równość jako uzasadnienie. Wynikały ze szczerzego przekonania zaplecza władzy, że poprzez dostęp do dobrej szkoły warto poprawiać sytuację dzieci i młodzieży ze środowisk mniej zamożnych. Zwykle reformy te były w obiektywnym interesie środowisk ludowych. Nie doceniano jednak subiektywnej percepcji własnych interesów, która mogła prowadzić do oporu społecznego, a w związku z tym nie planowano strategii przekonania do słuszności proponowanych rozwiązań. Natomiast reforma obecnego rządu jest reformą populistyczną. Odpowiada oczekiwaniom środowisk ludowych pozostając w sprzeczności z ich obiektywnym interesem. PiS negował wszystko, co wprowadzała w poprzednich kadencjach PO, szukał punktów konfliktowych. Dlatego PiS poparł i protesty rodziców 6-latków, i powszechne narzekania na gimnazja, bez baczenia na to, że badania ich czarnej legendy nie potwierdzają się.

ALK i MB: W swojej książce piszesz o szkole angielskiej. Polacy bardzo ją lubią, choć z różnych powodów. Czemu na obczyźnie wszystko nam bardziej pasuje?

PS: Polacy angielską szkołę doceniają, bo ich dzieci ją lubią i idą do niej z chęcią, nie nudzą się, robią praktyczne rzeczy. Wracają do domu i opowiadają na przykład, że „dzisiaj gotowaliśmy, szyliśmy albo robiliśmy eksperymenty”. Do tego nie ma prac domowych, podręczniki są na miejscu, rodzic jest odciążony. Dla jednym istotne jest, że do szkoły nie trzeba dokładać. Trzeba tylko dokupić mundurek, ale w Tesco znajdzie go za 10 funtów. Dla innych istotne jest to, że szkoła rozwija kreatywność, innowacyjność. Przez gotowanie wprowadzasz zasady chemii i fizyki. To się kojarzy z nowo-

kiedy jedyną świecką instytucją pozostał sklep. Broniący swoich szkół mówili, że szkoła jest bardzo ważna, bo można się w niej spotkać, realizować działania kulturalne. I tego poczucia tożsamości, przynależności – że to jest u nas – nie można ignorować.

ALK i MB: Żeby zreformować szkołę, musielibyśmy skłonić ludzi, by zaufali państwu, ale to właśnie kontakt ze szkołą sprawia, że są wobec niego tak nieufni. Co można zrobić?

PS: Na początek moglibyśmy zerwać z tradycją zaczynania każdej reformy od zaorania tego, co zbudowali poprzednicy.

Na początek moglibyśmy zerwać z tradycją zaczynania każdej reformy od zaorania tego, co zbudowali poprzednicy.

czesnością. Dzieci z kolei lubią te szkoły, bo są nierywalizacyjne, nie ma ocen za zadania, te same dla wszystkich. Są dostosowane do poziomu uczniów, tzn. każdy się rozwija w swoim tempie.

ALK i MB: Dlaczego to takie ważne, aby były szkoły, biblioteki, domy kultury?

PS: Gdy wraz z Maćkiem Gdulą i Mikołajem Lewickim badaliśmy klasowe praktyki uczestnictwa w kulturze, uderzyło nas, że choć ludzie nie wiedzą, gdzie jest najbliższa filharmonia czy teatr, zaskakująco wielu z nich wie, gdzie jest najbliższa biblioteka i dom kultury. Podobnie jak szkoła, instytucje tego typu są postrzegane, jako dowody na to, że społeczność jakoś się trzyma, że jest częścią cywilizowanego świata. Likwidację szkoły, uważano za totalny upadek,

Stworzyliśmy gimnazja, które miały wyrównywać szanse. Coś poszło nie tak i system zaczął się rozwarstwiać. Trzeba było naprawiać, a nie „wygaszać”. Przywrócono 8-letnie podstawówki. No trudno – niech już z nami zostaną. Tylko sprawmy, aby były jak najlepsze i dostępne wszystkim. Na razie wszystko, co zbudujemy, zaraz musimy rozwalać.

ALK i MB: Czy centralne planowanie edukacji ma sens?

PS: Centralne planowanie, jest równie istotne, jak smorządność – MEN powinno wyznaczać brzegowe zasady programowe, a nauczyciele powinni mieć prawo do eksperymentowania z wiedzą. Podobnie uzasadniać można podział odpowiedzialności za zarządzanie edukacją pomiędzy samorząd a rząd. ♦

Barbara Słania

Romowie a polski system szkolnictwa

Romowie czy dla wielu z nas po prostu Cyganie – każdy zna ich choć z widzenia, mało kto osobiście. Większość, widząc ich, zwłaszcza w większej grupie, kurczowo łapie się za kieszenie. Zazwyczaj nie są to też ani nasi ulubieni sąsiedzi, ani koleżanki i koledzy ze szkolnych ławek.

Myślimy o nich, że są głośni, mówią i piszą kiepską polszczyzną, wybierają raczej kombinowanie niż uczciwą, ciężką pracę. Słowem, są to ludzie może i biedniejsi od nas, ale całkowicie za ten stan rzeczy odpowiedzialni, co sprawia, że współczucie znika. Warto jednak zadać sobie pytanie, jak jest faktycznie i czy Romowie naprawdę nie chcą żyć na takim poziomie jak większość społeczeństwa. Możemy odwołać się do wielu opracowań naukowych i danych statystycznych, zarówno krajowych, jak i unijnych – ich konkluzja będzie raczej gorzka.

Skupmy się tutaj na edukacji jako kwestii kluczowej, od której zależy najwięcej w życiu, w tym nasza przyszłość zawodowa. W Polsce ustawowo mamy obowiązek nauki do 18. roku życia¹, a polscy Romowie i Romni, jak wszyscy obywatele i obywatelki, podlegają tym zapisom. Ale litera prawa to nie wszystko, rzeczywistość jest dużo mniej optymistyczna. Oczywiście, jeśli zajrzemy na strony ministerialne, zobaczymy konkursy stypendialne dla uzdolnionych dzieci

CO WARTO PRZECZYTAĆ I OBEJRZEĆ?

Adam Bartosz, *Nie bój się Cygana / Na dara Romestar*
 Jerzy Ficowski, *Cyganie polscy, Cyganie na polskich drogach*
 Angelika Kuźniak, *Papusza*
 Norbert Mappes-Niediek, *Biedni Cyganie, żli Romowie*
 Lidia Ostałowska, *Psożercy ze Svini*
Papusza, reż. Krzysztofa Krauze, Joanna Kos-Krauze (2013)

i młodzieży romskiej – można by nawet pomyśleć, że oferta do nich kierowana stawia ich w uprzywilejowanej pozycji. Nic bardziej mylnego. Owszem, są jednostki, które z powodzeniem kończą kolejne etapy szkolnictwa, studiują, robią kariery, także naukowe. Prawda jednak jest brutalna – o ile przeciętny Kowalski czy Nowak po szkole podstawowej szedł do niedawna do gimnazjum, by kontynuować naukę w liceum, rzadziej technikum czy zawodowce, i zazwyczaj myślał o studiach wyższych, przeciętny Mirga² kończył podstawówkę nierzadko rok czy dwa lata później, zaczynał gimnazjum i niekoniecznie je z sukcesem kończył, po czym raczej zasilał szeregi bezrobotnych, niż skupiał się na karierze zawodowej.

Szukając przyczyn takiej sytuacji, można oczywiście powiedzieć, że Romowie to lenie i analfabeci z pokolenia na pokolenie, że nie chce im się ani uczyć, ani pracować i wolą żyć na koszt reszty społeczeństwa. To uproszczenie byłoby jednak niezwykle krzywdzące – jak każda generalizacja, która nie zauważa wyjątków od reguły, ale i dlatego, że pomija cały kontekst społeczny. Z jednej strony mamy samych Romów, z drugiej natomiast polski system edukacji. Należy zapytać, na ile jest on dostosowany do potrzeb dzieci

romskich, czy szerzej: dzieci w jakiś sposób odmiennych od większości?

Egzekwowanie obowiązku szkolnego wobec dzieci romskich wygląda bardzo różnie. Owszem, są szkoły takie jak podstawówka w bytomskim Bobrku, gdzie dyrektorka i asystentka kulturowa, jak lwice walczą o każdego ucznia i z dumą mówią, że od prawie 10 lat nie było w dzielnicy dziecka, które nie skończyłoby podstawówki. Takie siłaczki to jednak rzadkość, zwykle dla szkół romscy uczniowie to problem. Dzieci po polsku mówią słabo i często powtarzają klasy, zwłaszcza że rodzice raczej nie są w stanie pomóc im w nauce. Dziewczynki nierzadko odmawiają rozbierania się na wuefie i opuszczają szkołę, bo trzeba się zająć młodszym rodzeństwem. Nic, tylko pozbyć się kłopotu i wysłać do szkoły specjalnej, a rodzicom „wytłumaczyć”, że to dla ich dobra – łatwiej zdać, jest stypendium, dowóz. A romscy rodzice – zazwyczaj ludzie prości, lecz gotowi dać się obedrzeć ze skóry dla dobra dzieci – przyjmują te argumenty.

Polska szkoła czy raczej cały polski system edukacji – z nielicznymi wyjątkami – niewiele robią, by to zmienić. Młodzi Romowie i Romni rzadko kończą szkoły ponadgimnazjalne/ponadpodstawowe, co sprawia,

¹ „Obowiązek szkolny” i „obowiązek nauki” to pojęcia często mylone; pierwszy dotyczy ukończenia szkoły podstawowej i gimnazjum, drugi natomiast nauki, w tym nauki zawodu, do uzyskania pełnoletności.

² Mirga to najpopularniejsze w Polsce nazwisko romskie.

że ich szanse na rynku pracy w punkcie wyjścia są już dużo niższe od polskich rówieśników. Szkoły w Polsce często nie korzystają z narzędzia, jakim jest zwiększona subwencja oświatowa na dzieci należące do mniejszości etnicznych i narodowych, woła udawać, że w ich szkole takie osoby się nie uczą. Czy wynika to z niewiedzy, co w przypadku placówki edukacyjnej brzmi kuriozalnie, czy z niechęci – trudno rozstrzygać. Zyskać mogliby na tym wszyscy uczniowie – nie tylko mali Romowie, lecz także ich polscy koledzy i koleżanki.

Prawda jest taka, że polska szkoła nie jest dostosowana do potrzeb dzieci romskich. Idealni uczniowie polskiej szkoły to dzieci z klasy średniej, które nie sprawiają problemów wychowawczych i uczą się dobrze, które mogą liczyć na pomoc rodziców w nauce i stać je na odpłatne, rzecz jasna, korepetycje. I których rodzice płacą przyzwoite kwoty na „dobrowolny” komitet rodzicielski oraz pomagają w utrzymaniu szkoły, czy to dofinansowując zakup pomocy naukowych i remonty, czy to biorąc udział w tych drugich. Bo kolejną bolesną prawdą o polskiej szkole jest to, że dramatycznie brakuje w niej pieniędzy na wszystko – od godnych płac dla nauczycieli po wyposażenie klas.

Dzieci i młodzież romska, jak wszyscy uczniowie i uczennice, zasługują na edukację dobrej jakości, która nie będzie nikogo dyskryminowała ani stawiała nierealnie wysokiego progu wejścia. Polska szkoła powinna być miejscem, w którym wyrównuje się szanse, a nie utrwała nierówności społeczne. ♦

**Agnieszka
Lamek-Kochanowska**

W toaletach śmierdzi uryną

Kiedy rozmawiałam z nauczycielką jednego z gimnazjów na Śląsku o szkolnych toaletach, powiedziała mi: „Gdy przechodzę obok chłopięcej toalety, muszę zatykać nos, bo tak śmierdzi uryną”.

W 2018 roku w Budżecie Obywatelskim Bielska-Białej pojawił się projekt zachęający mieszkańców do głosowania w sprawie remontu dwóch łazienek znajdujących się w Szkole Podstawowej nr 37 na Osiedlu Karpackim¹. To dobry przykład pokazujący, w jaki sposób samorząd traktuje sprawę szkolnych toalet. W uzasadnieniu autorka projektu z całą mocą podkreślała, że od roku budowy, czyli od 1988 nie podejmowano żadnych prac remontowych w łazienkach i toaletach szkoły. Wygląda na to, że przez 30 lat miejski samorząd nie uznał za konieczne, aby uczniowie SP nr 37 mogli korzystać ze zmodernizowanych i funkcjonalnych toalet. A jest w nich wiele do zrobienia, m.in. wymiana sanitariatów, płytek, armatury, kabin WC i drzwi oraz odmalowanie ścian.

Z ogólnopolskiego badania „Ocena stanu szkolnych toalet” przeprowadzonego wśród rodziców uczniów publicznych szkół podstawowych wynika, że aż 40% ankietowanych przyznało, że ich dzieci skarżyły się na niedogodności związane z korzystaniem ze szkolnej toalety. Najczęściej wskazywano: brak lub niewystarczającą ilość

papieru toaletowego, brak mydła i ręczników do wytarcia rąk, brudne muszle klozetowe, brak sprawnych zamków w kabinach toaletowych oraz brak ogólnej estetyki łazienki. Jednocześnie 15% rodziców twierdzi, że ich dzieci unikają korzystania z toalety podczas pobytu w szkole. Dodatkowo co trzeci ankietowany uważa, że toaleta w szkole jego dziecka nie jest czysta, lub nie ma wiedzy na temat jej stanu².

W bielsko-bialskich szkołach także nie jest kolorowo. Potwierdzają to wyniki corocznych sprawozdań Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Okazuje się, że nie wszystkie szkoły podstawowe zapewniają swoim uczniom warunki do zachowania i utrzymania higieny osobistej. A zatem nie w każdej szkole znajdują się łazienki i toalety, w których jest dostęp do ciepłej bieżącej wody oraz środki higieny osobistej takie jak papier toaletowy, mydło w płynie, ręczniki papierowe czy suszarki do rąk. Z raportów PSSE można również domniemywać, że żadna z bielsko-bialskich szkół nie zapewnia swoim uczniom dostępu do podpasek.

Na stronach na Facebooku oraz Instagramie (np. @aniama-luje) można trafić na opowieści uczniów i uczennic, a także ich rodziców o szkolnych toaletach. Historie, jakimi się dzielą, ujawniają bezradność dzieci i młodzieży, niemoc rodziców, ale i systemu, z którym przyszło im się zmierzyć. Powszechnym doświadczeniem dziewcząt jest chodzenie do WC parami, bo ktoś musi trzymać drzwi. Albo próba zrobienia siku na stojąco, by niczego nie dotknąć,

¹ www.2018.obywatelskibb.pl/projekty/osiedlowe/karpackie/remont_lazienek_szkolnych_w_szkole_podstawowej_nr_37.html

² Źródło informacji: wzorowalazienka.pl

przy jednoczesnym przytrzymaniu drzwi ręką, aby się nie otworzyły. Jeden z rodziców wspomina, że dziecko wracało do domu z nienapoczętym piciem i nienaruszoną kanapką – wszystko po to, aby nie korzystać ze szkolnej toalety. Zdarza się, że moje dziecko wraca ze szkoły z bólem brzucha – mówi – bo boi się korzystać z toalety, w której nie ma drzwi. Czy takie opowieści nie budzą w nas, dorosłych, grozy? Czy z pełną odpowiedzialnością możemy stwierdzić, że „wszystkie dzieci nasze są”? Przecież dzieciom z racji wieku

ry i szacunku dla dobra wspólnego. Wytyka się zatem uczniom, że: nie używają spłuczki, rozlewają na podłogę wodę, wrywają zamki i dziurawią drzwi w toaletach, psują suszarki do rąk. Tylko jak wytłumaczyć wieloletnie, nierzadko kilkudziesięcioletnie zaniedbania państwowych instytucji wobec młodzieży, polegające na nieremontowaniu, nieodświeżaniu i braku modernizacji szkolnych toalet?

Drudzy szukają rozwiązań i biorą udział w konkursach na remont łazienki organizowanych przez korporacje sprzedają-

cy społecznie problem brudu w szkolnych toaletach.

Inni z kolei remontują łazienki, bo po prostu nie mają wyjścia. Gdy sanepid zauważy, że coś jest nie tak, nakłada na szkołę mandat. W niektórych szkołach uczniowie posuwają się do aktów wandalizmu, wydrapując na szybach okiennych napisy, przypalając drzwi i robiąc w nich dziury. W pewnej szkole w kraju łazienki były w tak złym stanie, że uczniowie w desperacji je podpalili. Szkoła musiała je wyremontować.

Wielu dyrektorów szkół zauważa, że jeśli łazienki w szkołach są po remoncie, uczniowie o nie dbają. Łatwo obarczyć ludzi winą za złe nawyki i przyzwyczajenia. Niemniej prawo nakazuje szkołom i samorządom dostosowanie się do norm ustawowych, nie pozwalając na lekceważenie praw uczniów i uczennic do intymności i higieny. Najwyraźniej problemy z remontowaniem szkolnych toalet ujawniają głębsze, systemowe kłopoty naszego państwa i samorządu. Czas najwyższy zacząć krzyczeć w sprawie szkolnych toalet i braku środków higienicznych dla chłopców i dziewcząt. Nie może być tak, że uczniowie zamiast książek i zeszytów noszą do szkoły w tornistrach mydło i papier toaletowy. To my, dorośli, pedagodzy i samorządowcy, powinniśmy uznać za priorytet poprawę stanu i dbanie o higienę łazienek w szkołach.

Polskie szkoły powinny wreszcie stać się miejscem, gdzie każdy uczeń i każda uczennica mają dostęp do czystej i funkcjonalnej toalety oraz do środków higieny. Jeśli jest to niemożliwe, to niech ten nasz cud gospodarczy i całą transformację diabli wezmą. ♦

Dziecko wracało do domu z nienapoczętym piciem i nienaruszoną kanapką – wszystko po to, aby nie korzystać ze szkolnej toalety

i braku doświadczenia trudno upominać się o swoje. Poza tym nikomu z pełnym pęcherzem nie chce się walczyć. Niektóre dzieciaki tak bardzo brzydzą się lub boją szkolnych toalet, że nie sikają przez kilka godzin, a to nie tylko jest niezdrowe, lecz także wywołujące dyskomfort. Potwierdzają to wyniki badania. Aż 87% ankietowanych rodziców jest zdania, że brak możliwości swobodnego skorzystania z toalety zawsze, kiedy dziecko tego potrzebuje, ma wpływ na jego komfort uczestnictwa w zajęciach szkolnych oraz koncentrację na lekcji³.

Co grono pedagogiczne i samorządy robią w tej sprawie? Jedni starają się usprawiedliwiać i winę za zły stan toalet przerzucają na „złe wychowanych” uczniów, „agresywną” młodzież, brak nawyków higieny oraz niedofinansowanie szkół. Ogólnie, winę upatruje się w braku kultu-

ce środki czystości. Przykładem jest tu trwająca nieprzerwanie od 2014 roku akcja zorganizowana przez znaną firmę produkującą środki czystości, nazwana Programem Wzorowa Łazienka. Według regulaminu konkursowego na remont łazienki zasłużyła jedna szkoła, inne mogły liczyć na odświeżenie pomieszczeń. Pozostali uczestnicy konkursu otrzymują roczny zapas kostek toaletowych. Cel jest oczywiście szczytny, choć w roku remontowana jest zaledwie jedna szkolna łazienka, niemniej należy zaznaczyć cynizm i hipokryzję ekspertów od marketingu, którzy żerując na niewydolności systemu edukacyjnego, nakręcają konsumpcję i przywiązują uczniów do jednej marki. Ponadto w mediach społecznościowych konkurs ten jest promowany przez znane osoby, co raczej służy produktom firmy dającej pieniądze na remont, niż uwrażliwia instytucje na palą-

3 Źródło informacji: wzorowalazienka.pl

Katarzyna Wodniak

Edukacja przez sport, czyli animatorzy na Orlikach

W ostatniej dekadzie sport uprawiany amatorsko zaczął być postrzegany nie tylko jako część zdrowego stylu życia, ale także aktywność, którą można wykorzystać dla celów edukacyjnych na wielu płaszczyznach. UNESCO wymienia szereg wartości i miękkich umiejętności, jakie można rozwijać trenując sport powszechny, takich jak postępowanie fair, umiejętność współpracy, budowanie postaw równościowych i włączających, wytrwałość i szacunek. Umiejętności te mają z kolei potencjał wspomagania walki z problemami społecznymi, wśród których UNESCO wymienia bezrobocie, bezczynność czy konflikt¹. Takie społeczne podejście do promowania sportu powszechnego przyświecało twórcom programów na Orlikach w latach 2013–2016, które to programy badałam na potrzeby swojego doktoratu.

Budowę Orlików, niewielkich obiektów sportowych dostępnych dla lokalnych społeczności, rozpoczęto w 2008 roku. Ich powstanie i liczba były związane z mistrzostwami Europy w piłkę nożną, współorganizowanymi przez Polskę i Ukrainę – 2012 boisk na EURO 2012. Obiektów powstało koniec końców więcej, około 2500. Liczba ta oznaczała, że Orliki znalazły się praktycznie wszędzie, w wioskach, w mniej-

szych i większych miastach. Miały wspomóc promocję sportu powszechnego w Polsce, jednak przez pierwszych kilka lat nic oprócz rozbudowy infrastruktury w projekcie się nie działo. Choć w zamiarze powszechnie dostępna, infrastruktura sama w sobie nie wystarczyła, by promować sport wśród amatorów.

W 2011 roku Orliki pojawiły się na radarze nieformalnej grupy Wolontariat Sportowy 2012++ (WS 2012++). Grupa zrzeszała organizacje, którym zależało na tym, by EURO 2012, impreza komercyjna i kontrowersyjna, jeśli chodzi o rzeczywiste korzyści dla krajów goszczących, pozostawiła w Polsce realne

Fajnie jest zobaczyć sport jako działanie społeczne.

i długotrwałe efekty społeczne. Liderami grupy były Zespół Programu Odpowiedzialności Społecznej PL.2012 (główniej organizacji koordynującej przygotowania do mistrzostw) i Projekt Społeczny 2012+ (Think-and-do Tank Uniwersytetu Warszawskiego) – organizacje stanowione niemal wyłącznie przez socjologów, zorientowanych na dialog, współpracę, działania oddolne i budowanie kompetencji obywatelskich w lokalnych społecznościach. Orliki jako przestrzenie lokalne, łatwo dostępne dla członków społeczności, stwarzały potencjał dla realizacji tego celu, zarówno pod kątem promocji sportu powszechnego, a co za tym idzie poprawy kondycji i zdrowia uczestników, jak i budowania kapitału społecznego i aktywnego włączania w nie różnych

grup. Obiekty pozostawione same sobie służyły nastoletnim chłopcom do mniej lub bardziej regularnego grania w piłkę nożną. Te wymarzone przez grupę Wolontariat Sportowy 2012++ oferowałyby zajęcia również dla dziewcząt, kobiet i mężczyzn w średnim wieku, osób z niepełnosprawnością i seniorów, byłyby miejscem, gdzie uczestnicy nie tylko uprawiają sport, ale też uczą się polegać na sobie, współpracować, wzmacniać swoje więzi, a co za tym idzie – społeczności.

Fajnie jest zobaczyć sport jako działanie społeczne, że te wszystkie deficyty społeczne, jakie mamy, czyli że nie umiemy współpracować, że nie dzielimy się wiedzą, że nie uczymy się od siebie, że to jest dokładnie działka, którą należy trenować i można trenować, i skutecznie trenować poprzez sport. Sport daje możliwość uruchomienia wszystkich tych mechanizmów, o których wszyscy w Polsce mówią, ale nikt ich nie wprowadza w życie w politykach społecznych. Mam na myśli partycypację, konsultacje społeczne, diagnozę społeczną, lokalne polityki społeczne, to wszystko można zoperacjonalizować poprzez sport (Ola, Projekt Społeczny 2012+, wywiad z roku 2012).

Oferta Orlików miała być tworzona przez lokalnych animatorów, członków społeczności, którzy będąc blisko uczestników, rozumieliby ich potrzeby i oczekiwania. Animatorzy bacznie obserwujący swoje otoczenie, z aktywnym podejściem i odrobiną wyobraźni, mogli wciągać w działalność obiektów grupy wcześniej zupełnie niezainteresowane sportem.

¹ <http://www.unesco.org/new/en/social-and-human-sciences/themes/physical-education-and-sport/values-education-through-sport/>

Pozornie wydawałoby się, że Orlik to jest tylko boisko do gry w nogę... Nie wiem, czy ci opowiadałem o tym animatorze, który miał (...) problem z lebkami, którzy wchodził tam i dewastowali. On (...) prowadzi zajęcia dla dzieciaków, a grupa takich trochę starszych chłopaków, może 17-20 lat, przychodziła na boisko i tam palili papierosy i pili alkohol, dla dzieciaków to nie było fajne oddziaływanie. I tam wykrzykiwali różne rzeczy pod jego adresem, był syf, no niszczyli pewne rzeczy, itd. No i on tak się zastanawiał, jak ten problem rozwiązać, czy wzywać policję, czy straż miejską, itd. No ale, koniec końców, pomyślał sobie, że to pewnie oni tak robią, bo nie mają nic ciekawego do roboty w tym czasie... I nie zaproponuje im gry w piłkę nożną, bo oni tam sobie sami kopią, itd. Ale pomyślał sobie, poszperał po stronach internetowych, zobaczył jak wygląda, to się chyba nazywa Flagowy Football Amerykański,

taki, który nie wymaga całego sprzętu, itd. Zorganizował pieniądze na zakup piłki... Słuchaj – i zorganizował im zajęcia z footballu amerykańskiego i to było dla nich coś ciekawego... W sytuacji takiej, gdzie on się bał o bezpieczeństwo dzieciaków, teraz ma najlepszą ochronę w postaci tych oprychów (Kuba, Fundacja V4Sport, wywiad z 2012 roku).

Celem grupy stało się wspieranie takich aktywnych postaw systemowo. W latach 2011-2012 zdołała ona wprowadzić w życie projekt, który, po jej wielkich wysiłkach, sfinansowała UEFA. Obejmował on pracę z dwustoma klasami ze szkół w czterech miastach-gospodarzach. Respect Your Health (RYH) był współzarządzany przez międzynarodowe organizacje regularnie współpracujące z UEFA, Street Football World i World Heart Organization, a ze strony grupy WS 2012++ przez Projekt

Społeczny i Fundację V4Sport. W ramach RYH wyszkolono pierwszą grupę animatorów. W szkoleniach, oprócz promocji sportu powszechnego jako drogi do zdrowego trybu życia, na czym zależało UEFA, udało się przemycić treści dotyczące aktywnego wychodzenia do lokalnych społeczności oraz łączenia sportu z celami społecznymi. Napisano przewodnik dla uczestników projektu, który mógł być następnie dystrybuowany wśród pozostałych animatorów w kraju.

Przewodnik zawierał praktyczne wskazówki dla animatorów – pomysły na zajęcia i ćwiczenia, quizy, czy przykłady związanych z tematem filmów. 37-stronicowa książeczka była podzielona na trzy części, „Zdrowy Styl Życia”, „Nasza Społeczność” oraz „Pomysły na Zajęcia”. Pierwsza część została przygotowana przez Street Football World and World Heart Organization, a następnie dostosowana



do polskich warunków. Reszta podręcznika została przygotowana przez stronę polską, przede wszystkim Projekt Społeczny 2012+ i V4Sport, przy współpracy animatorów.

Przewodnik miał wszystkie te elementy, na których nam zależało, jeśli chodzi o szkolenie animatorów, tzn. jak wciągać lokalne społeczności, jak przeprowadzić autoewaluację, jak zarządzać wolontariuszami, itd. Dwie trzecie tego przewodnika jest o lokalnych społecznościach (Monika, PL.2012, wywiad z 2011 roku).

Przygotowanie i wydanie przewodnika było kluczowe dla grupy i stanowiło podwaliny dla utworzenia programów „Nasz Orlik” i „Animator na Orliku” na początku 2013 roku. W drugiej połowie 2012 roku, po zakończeniu mistrzostw, grupa WS 2012++ okrzepła w swoich celach. Po kilku miesiącach negocjacji Monika, dotąd szefowa POS PL.2012, została prezeską istniejącej od lat, ale nieaktywnej Fundacji Rozwoju Kultury Fizycznej (FRKF). Fundacja, uzyskująca fundusze przede wszystkim z Ministerstwa Sportu i Turystyki, posiadała mandat i zasoby niezbędne dla utworzenia ogólnopolskich programów rozwijających Orliki. Programy były zorientowane na dwa główne cele, dokształcanie animatorów (program „Animator na Orliku”) oraz włączanie w działalność Orlika różnych grup społecznych, które dotąd korzystały z obiektów mało albo wcale, czyli dziewcząt, kobiet i mężczyzn w średnim wieku, seniorów i osób z niepełnosprawnością (program „Nasz Orlik”). „Animator na Orliku”

aktywizował animatorów, którzy z kolei mieli za zadanie zrobić to samo ze swoimi społecznościami. Animatorzy zostali wyszkoleni w procesie partycypacyjnym, gdzie każde ze szkoleń było przez nich ocenione, a kolejne szkolenia wykorzystywały zebrane wcześniej opinie. W ten sposób animatorzy mogli sami wskazać, jakie umiejętności są im najbardziej potrzebne. W następnym etapie animatorzy z obiektów biorących udział w programie mieli się zastanowić, jakie dyscypliny sportu mogłyby przyciągnąć większą liczbę uczestników. W ten sposób do oferty wprowadzono jogę z myślą o dziewczętach i kobietach, boule i nordic walking dla

dołączyły, ale animatorzy nie zdecydowali się wziąć udziału w szkoleniach – uczestnictwo w nich było dobrowolne. Na tych Orlikach sytuacja pozostała praktycznie niezmienną. W części miejscowości problem stanowi też struktura finansowania programu. Orliki są współfinansowane przez gminy, co oznaczało, że w miejscach, gdzie jest więcej pieniędzy obiekty mają się lepiej. Z sytuacją finansową mają też związek warunki zatrudnienia animatorów, niektórzy są zatrudnieni na cały etat, podczas gdy dla innych jest to zajęcie dodatkowe – siłą rzeczy skala ich zaangażowania się różni. Wielkim wyzwaniem było też usunięcie zarządu FRKFu po wyborach

Aktywne i partycypacyjne podejście szybko przyniosło efekty, do 2016 roku liczba wejść na Orliki wzrosła do 10 milionów rocznie

seniorów, czy specjalny rodzaj gimnastyki dla osób z niepełnosprawnością. W sumie oferta została rozszerzona o przeszło 70 dyscyplin². Aktywne i partycypacyjne podejście szybko przyniosło efekty, do 2016 roku liczba wejść na Orliki wzrosła do 10 milionów rocznie³. Badania przeprowadzone przez Pracownię Wyzwań Społecznych UW pokazały, że zmienił się również przekrój demograficzny uczestników⁴.

Mimo imponujących sukcesów sytuacja nie była oczywiście idealna. Zmiana dotyczyła znacznej ilości Orlików, ale nie wszystkich. Część obiektów w ogóle nie przystąpiła do programów. Inne

2015 roku i zastąpienie go osobami bez większych kompetencji społecznych. Ocena aktualnego stanu Orlików wymagałaby przeprowadzenia szczegółowych badań, ale z kilku wywiadów z animatorami, które przeprowadziłam w zeszłym roku, oraz z danych fundacji Orły Sportu wynika, że z obiektów tych nadal korzysta ogromna rzesza ludzi. Żaden z animatorów nie mówił o spadku zainteresowania nimi, mowa była raczej o wzroście liczby użytkowników. Wskazywałoby to na skuteczność oryginalnego pomysłu zarządzania obiektami przez wzmacnianie kompetencji animatorów, którzy nawet po zmianie kierownictwa są w stanie podtrzymać misję edukacyjną skierowaną do lokalnych społeczności. ♦

² Raport Nasz Orlik 2015

³ Dane FRKF 2016

⁴ Raport Nasz Orlik 2015



Stowarzyszenie im. Tadeusza Regera

Redaktorka naczelna
Katarzyna Gasparska

Sekretarz redakcji
Paweł Miech

Zespół redakcyjny
Mikołaj Bizoń
Szymon Czyżyk
Adam Konieczny
Agnieszka Lamek-Kochanowska
Mateusz Merta
Barbara Słania

Autorki
Aleksandra Granat
Marzena Kocurek
Agnieszka Pietrzak
Małgorzata Koniorczyk
Natalia Kałuża
Katarzyna Wodniak

Współpraca
Darek Lamek-Kochanowski
Maria Trzeciak

Opracowanie graficzne
Mira Larysz

Skład
Jarosław Hess

Korekta
Marcin Jaworski
Agnieszka Pietrzak
Marta Składanek

Kontakt
rownosc redakcja@gmail.com

ISSN
2081-4518

Druk współfinansowany
przez Razem

Darowizny na cele statutowe
Stowarzyszenia im. Tadeusza Regera,
w tym wydawanie czasopisma *Równość*,
można wpłacać na nr konta:

67 1600 1462 1845 1515 2000 0001

Równość

kwartalnik wydawany przez
Stowarzyszenie im. Tadeusza Regera
KRS 0000333135

nr 2/2019

Przeczytane? Podaj dalej!

Podziel się swoim egzemplarzem z sąsiadką, dobrym kumplem, koleżanką z pracy, szefową, nauczycielem, sprzedawcą w Twoim sklepie. Pożycz mamie, bratu, tacie, siostrze i w końcu daj nieznajomej osobie na ulicy. Niech ta treść dotrze do jak największej liczby osób!